

HASŁO ŁÓDZKIE

DZIENNIK BEZPARTYJNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Łódź, Al. Kościuszki 73, tel. 63-66.
Redakcja nocna (po godz. 8 wiecz.) w Piotrkowska 85, tel. 29.

Cena 25 groszy

Redaktor naczelny przyjmuje codziennie od godziny 6-7 wieczorem
Sekretariat czynny od godz. 12-1 w poł. i od 6-7 wiecz.

Bóg się rodzi — moc truchleje...



„Wesołych Świąt!...”
Przez wiele, wiele lat
w Polsce, ten tradycyjny
frazes miał posmak goryczy,
ironji — nieszczerości.
„Wesołych Świąt!”
Bezmyślnie trzeba było
te słowa powtarzać dwa ra-
zy do roku z okazji Wiel-
kiejnocy i Bożego Narodze-
nia...

Bezmyślnie — bo inaczej
nie przeszłyby przez gardło.
Niewesołe były lata — wy-
muszone, nieszczerze, ironją
i goryczą brzmiące życzenia,
przez tradycję narzucane.

I od niedawna dopiero
fałszywie brzmieć przestały.

„Wesołych Świąt!”
W tym roku właśnie —
w dziesiątym roku Wolne-
Niepodległej Polski, gdy jej
szczę w uszach brzmią wi-
waty święta 11 listopada
szczerą radością brznieć
muszą świąteczne życzenia.

Troski, kłopoty i smutki
— jakie były, są i będą
w każdej rodzinie, w każdym
domu — dziś łatwiej odpe-
dzić, wobec tej jeźnej dla
wszystkich radości jaka wiel-
ką polską rodzinę jednoczy:
10 lat niepodległego bytu
stało się granitowym funda-
mentem Rzeczypospolitej.

Idziemy naprzód! To już
wiemy, tego jesteśmy już
pewni — sprawdziliśmy bilans
10 lat. Idziemy naprzód w
coraz lepszą, coraz jaśnie-
szą przyszłość.

* * *
Gdyśmy jak owi pastusz-
kowie w polu spali —
zbudziła nas zapalona na
niebie kometa wielkiej woj-
ny.

Zwiastowała nam do-
brą nowinę. Jak gwiazdy
betleemskiej świetlany snop
na niebie — takim był dla nas
błysk miecza Piłsudskiego.

Jak gwiazda betleemska
drogę narodowi wskazywał
do Betleem Poiskiego:

Tędy do narodzin Nie-
podległości!

* * *
Wesołych Świąt!
Inaczej niż przed laty
brzmią te słowa.

Jest już u nas, gruntuje
się i wzrasta radość, która
zdolna jest własne, powszed-
nie troski i smutki zagłu-
szyc.

Śpiewać możemy, ko-
łędować wesoło!

Na chwałę Jezusko-
wemu
Malerkiemu.

W stajence betleemskiej

WIZJA ZGODY POLSKO-LITEWSKIEJ

ujrzana na śnieżnym, wigilijnym obrusie od Warszawy do Kowna

„A gdy na ciemno - szafirowym niebie wi-
jina gwiazda zapłonęła — ja, stary z pod
Hrodla Koroiarz, nad Bugą rzeką urodzony,
tradycyjnym oplątkiem łamiąc się z najuko-
chańszym swym druhem litewskim — Mini-
mundem Monstwidem, uroczyste, coram lic-
nie zebranej braci sąsiedzkiej, stary odczyta-
liśmy pergamin o tej tak wznieśliwej treści i
wspólnie upragnionych życzeniach:

„Pragnąc w świętych, a urodzajnych zie-
miach polskich i litewskich, z powodu ustawi-
cznych zasadzek Krzyżackich, Czerwonej Mo-
skwy i ich sprzymierzeńców, lubo innych ja-
kichbądź nieprzyjaciół, którzy Rzplitej Polsce
a także Litewską zniszczyć usiłują, na ich zgu-
bę dziejową i zatracenie czyhając — postawić
w lepszej pewności, bezpieczeństwie i opiece,
a przygotować im wieczną na czasy mnogie
pomysłność — postanawiamy uroczyste:

Przyrzekamy na święte imię Chrystusa i
Jasnej Niebios Panienci dołożyć starań wszel-
kich tam, gdzieby szło o pomnożenie dobra
naszego, pomyślności i honoru, nie opuszczać
siebie wzajem w potrzebie i przeciwnościach,
ale owszem zawszeć zasłaniać się wzajem
przeciw zasadzkom i niepokojom wszystkich
Korony i Litwy nieprzyjaciół, oraz dawać
przeciw nim pomoc i radę.

Pomni nieśmiertelnych nakazów Witoldów,
Jagiellonów i Mickiewiczów przyrzekamy, o-
biecujemy, ślubujemy, żarczamy całą przy-
sięgi świętością bez wszelkiej zdrady i nikaj-
kiego podstępstwa lubo podejścia, bez pozoru rozo-
brojenia, nieudzielnności i nierówności — nie
opuszczać siebie w żadnych przeciwnościach
i potrzebach, owszem — zawszeć przeciw

wszystkich wrogów udzielać sobie wzajem, a
wiernie rady i sukursu, z nikim sam przez się
nie wszczynając, nie prowadząc kłótni ni woj-
ny.

A naprzód, głównie obiecujemy i żarczamy,
iże posiadłości czyli ziem, zarówno Naj-
jaśniejszej Rzplitej Polskiej jak i przepięknej
a możnej Republiki Litewskiej nie umniej-
szymy w ich granicach, jak je prawa Boskie
a ludzkie nakreśliły, w całości trzymać, po-
siadać i strzedz wzajem będziemy. Także
Postłów naszych, co najrychlej, według Euro-
py zwyczaj, a dla dobra obu braterskich sto-
lic, Warszawy i Kowna — wyślemy.

(Także z temi Państwami i Ziemiami, z
którymi od czasów dawnych pisma przynie-
rza, związki i przysięgi wiecznego pokoju ma-
my, takowych nie chcemy łamać, ale, owszem,
za Boga pomocą, dalej utrzymać i pomnażać.
Także wszelkie uchwały jako i sprawy z
Panami Rady Waszej i Naszej, rozbiierać, sta-
nowić i zatwierdzać będziemy i takowych z ni-
kim innym zmieniać, poprawiać lubo inaczej
urządzać nie będziemy.

Także jeżeli Nam kiedy jakie uchwały na
naradach wspólnie rozbiierać wypadnie, a Pa-
nowie ci lubo tamci nie zgodzą się na nie —
My o to na nich nalegać nie będziemy, lecz
cokolwiek Nam czy Wam dla Naszego wspól-
nego dobra doradzą, to wszystko wykonamy.

Niechajże cały świat się dowie, iże między
Orłem Polskim a Pogonią Litewską wielka
Miłość Pokoju i Dobrej Woli po wsze czasy
ma pozostać.

...Tu dwie szklanice węgryna, druhów
dwóch, kryształu dały dźwięk czysty...

Święta Marszałka Piłsudskiego

W otoczeniu rodziny w Belwederze

Pani Marszałkowa Piłsudska, która zamie-
rzała spędzić święta w Krynicy, postanowiła
odwołać swój wyjazd wskutek przeziębienia
córeczki Jagódki.

Wobec tego Marszałek Piłsudski spędzi z
rodziną święta w Belwederze.

Korona spada z głowy Amanullaha

Rodzina królewska opuszcza samolotem stolicę

BERLIN, 22.12. — Poselstwo niemieckie
w Kabulu doniosło dziś ministerstwu spraw
zagranicznych, że kilku członków rodziny
króla Amanullaha opuści samolotem Kabul,
przenosząc się do Kandahar. Amanullah po-
zostaje w stolicy.

Wyjeżdżającym z Kabulu samolotem
członkom rodziny królewskiej towarzyszyć
będzie minister rpraw zagranicznych. Wobec
tego okazuje się nieprawdziwą wiadomość,
jakoby dostał się on do niewoli powstańców.

Walki pod Kabulem toczą się w dalszym
ciągu i miastu zagraża jeszcze stale niebez-
pieczeństwo. Powstańcy trzymają się na
wzgórzu Bagi Balla pod Kabulem.

KREW NA TORZE KOLEJOWYM

KRAKÓW, 23.12. Z Nowego Sącza dono-
sza, że w miejscowości Chelmie pod Nowym
Sączem miała miejsce katastrofa spowodowa-
na zderzeniem się

pojazdu osobowego z samochodem.
Samochód marki „Tatra” prowadzony przez
szofera Władysława Gawlikiewicza, wiozący
właściciela tego samochodu,

PARYŻ, 22.12. — Wódz powstańców w
afganistanie Sacao ogłosił proklamację, która
doreczona została poselstwem w Kabulu.

Sacao ogłasza, iż żadnych rokowań z rzą-
dem nie rozpocznie i że będzie prowadzić
walkę przeciwko Amanullahowi, dopóki nie
będzie on zdebronizowany.

Sacao nazywa króla Amanullaha zdrajcą
kultury staroafgańskiej.

WIEDEN, 23.12. Dzienniki donoszą, że
rząd afgański zgodził się, aby samolot angiel-
ski w dniu dzisiejszym przetransportował ko-
biety angielskie i indyjskie oraz dzieci, znaj-
dujące się obecnie w budynku poselstwa an-
gielskiego w Kabulu, poza granice afgańskie.
(PAT).

Marćinkiewicz, inżyniera rafinerji nafty w
Milanowej, zderzył się z pociągiem, który
zdażał z Milanowej do Nowego Sącza.

Skutki zderzenia były straszne. Szofer
Gawlikiewicz

został zabity na miejscu,
inż. Marćinkiewicz zaś odniósł głęboką ranę
głowy i doznał złamania ręki. (PAT)

Po dymisji ministra Meysztowicza

P. min. Car kontynuować będzie pracę nad unifikacją prawodawstwa polskiego

Wiadomość o dymisji Ministra Sprawie-
dliwości p. Aleksandra Meysztowicza i o po-
wołaniu na jego miejsce dotychczasowego
podsekretarza stanu w tym resorcie, p. Sta-
nisława Cara, wywołała w kołach politycz-
nych wielkie poruszenie.

Stało się ono tem silniejsze, że zmiana
na stanowisku Ministra Sprawiedliwości na-
stąpiła nagle.

Wiadomem wprowadzić było, iż Minister
Meysztowicz w czasie swego dwu i pół roc-
znego urzędowania niejednokrotnie już skła-
dał prośbę o dymisję. Zawsze jednak spoty-
kał się z odmową.

Min. Meysztowicz nie zmienił przecież
swego życzenia. Powtórzył je w czasie po-
siedzenia Rady Ministrów, które odbyło się
w czwartek, 20 grudnia. W dniu wczoraj-
szym otrzymał odpowiedź pozytywną.

Dymisja Ministra Meysztowicza niewąt-
pliwie pozostaje w związku z pewnymi róż-
nicami w poglądach, jakie ostatnio zaryso-
wały się między premierem Bartlem i Min.
Meysztowiczem. Jest ona również wyrazem
wzrastającego autorytetu Min. Cara, który
już jako wiceminister skupił w swych rękach
działalność ustawodawstwa dekretowego,
oraz reprezentowanie Rządu w tym zakre-
sie przed izbami ustawodawczymi.

Jak słyhać, p. Meysztowiczowi zapro-
ponowano do wyboru kilka wybitniejszych
stanowisk, m. in. objęcie lukratywnego sta-
nowiska reagenta z siedzibą w Warszawie.

Min Meysztowicz żadnej propozycji nie
przyjął i przenosi się na stałe do Wilna.

Nowy Minister Sprawiedliwości, p. Sta-
nisław Car, po zaprzysiężeniu i objęciu urzę-
dowania, złożył przedstawicielom prasy na-
stępujące oświadczenie:

Na stanowisku Ministra Sprawiedliwości
kontynuować będę prowadzoną przezemnie
od dwóch lat pracę nad unifikacją prawodaw-
stwa polskiego.

Czuwać będę nad wprowadzeniem w ży-
cie nowego ustroju sądownictwa w Polsce,
co nastąpi z dniem 1 stycznia 1929 r.

Sprawa nowego podsekretarza stanu w
Ministerstwie Sprawiedliwości nie była jes-
zcze rozważana.

Minister Car, jak widać z powyższego o-
świadczenia, postanowił wprowadzić dekret
o ustroju sądów z dniem 1 stycznia 1929 roku,
Kola rządowe stoją na stanowisku, że uchwa-
lony przez sejm wniosek o odroczeniu na je-
den rok wprowadzenia dekretu Prezydenta o
ustroju sądów nie uzyskał prawomocności u-
stawodawczej, gdyż w przepisany terminie
nie był uchwalony przez Senat.

Prawo o ustroju sądów może być uchyl-
one jedynie przez nowelę sejmową, zmieniają-
ca odnośny dekret Prezydenta.

Min. Stan. Car urodził się 28 kwietnia 1882
roku w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum
w 1902 roku i wstąpił na wydział prawny. Wo-
bec strajku szkolnego, przeniósł się na uni-
wersytet odeski, który ukończył w 1907 r.

Odbywszy aplikaturę, został adwokatem
w Warszawie w 1909 r.; przy tworzeniu są-
dów obywatelskich objął stanowisko sędziego
pokoju 11-go okręgu.

W 1917 r. powołany został do departamen-
tu sprawiedliwości Tymczasowej Rady Stanu.

W grudniu 1918 r. powołany został na sze-
ła kancelarji cywilnej Naczelnika Państwa.

W grudniu 1922 r. ustąpił z tego stanowi-
ska i powrócił do adwokatury. W r. 1925 zo-
stał mianowany prokuratorem przy sądzie naj-
wyższym. 17 czerwca 1926 r. ponownie objął
stanowisko szefa kancelarji cywilnej Prezy-
denta, a w parę miesięcy później został pod-
sekretarzem stanu w ministerstwie spiewiedli-
wości, na którym to stanowisku pozostawał
dotychczas.

Min. Car jest autorem licznych prac nau-
kowych.

Oznaczony jest Krzyżem Walecznych,
komandorj „Polonia Restituta” z gwiazdą i
Legją Honorową.

Wszystkim Cechom, Gospodom Czeladniczym oraz
organizacjom gospodarczym, zrzeszonym przy „Resursie”
z okazji świąt Bożego Narodzenia składa serdeczne
życzenia

Wesołych Świąt

Zarząd Towarzystwa Rzemieślniczego
„Resursa” w Łodzi.

„Nie damy ziemi skąd nasz ród”

10-letnia rocznica powstania wielkopolskiego

Odezwa Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny

Żołnierze, Rezerwiści i Powstańcy Wiel-
kopolscy!

W on czas Wielkiej Wojny Narodów, jako
żołnierze różnych formacji, zbrojni w przed-

ków naszych sławę i matek błogostawieństwo,
złożyliście na ołtarzu Ojczyzny życie Wasze
i krew i znoje.

Płomień serc waszych stopił w stal zwy-

Pomyślny zwrot w rokowaniach z Niemcami

Zgoda Polski na szereg postulatów niemieckich

Pełnomocnik polski do rokowań handlo-
wych z Niemcami min. Twardowski wystoso-
wał do przewodniczącego delegacji niemiec-
kiej min. Hermesa pismo z dalszemi szczegó-
łowemi propozycjami polskimi w sprawie
traktatu handlowego.

Propozycje te stanowią odpowiedź na ży-
czenia strony niemieckiej, i zgłoszone zostały
po kilkudniowych naradach w łonie rządu.

Pismo min. Twardowskiego wyraża — jak
słyhać — zgodę na zastosowanie ze strony
Polski szeregu zniżek celnych i ulg w zakazach
wywozowych względem Niemiec.

W ten sposób strona polska przychyliła się
do szeregu istotnych życzeń niemieckich, żąda
jednak wzamian za to stosownych ustępstw ze
strony niemieckiej.

Jak słyhać, propozycje polskie cważane
są w kołach delegacji niemieckiej za dogodne.
W związku z tem należy spodziewać się
rychłego podpisania umowy drzewnej.

Można również wnosić, że w ogólnych ro-
kowaniach handlowych nastąpi zwrot pomyśl-
ny, który zdaje się wróżyć, że zawarcie pol-
sko - niemieckiego traktatu handlowego na-
brało cech prawdopodobieństwa.

Barbarzyństwo niemieckie

BERLIN, 23.12. W Duesseldorfie odbyła
się rozprawa sądowa przeciw nauczycielce
Annie Welsch, która pobila ucznia w tak bru-
talny sposób, iż po 14-tu dniach widać było
pęgi na ciele chłopca.

Sąd apelacyjny uchylił wyrok pierwszej
instancji, skazujący nauczycielkę na 100 mk.
grzywny, i uwolnił ją od winy i kary. W mo-
tywach wyroku sąd zaznaczył, że skoro na
ciele chłopca widać było pęgi po wielu
dniach, jest to dowodem, że chłopiec jest bar-
dzo wrażliwy.

Powołany na rozprawę znawca orzekł, że
nauczycielom przysługuje na podstawie roz-
porządzenia z dnia 14 maja 1825 roku prawo
chłosty i, że kary cielesne są nie tylko pra-
wem, ale i obowiązkiem nauczycieli, troszczą-
cych się o wychowanie przyszłego pokolenia.

Więzienie za przejechanie człowieka

RZYM, 23.12. Duże wrażenie wywołało
w Rzymie skazanie na karę więzienia znanej
artystki filmowej, Riny de Liguoro.

Prowadząc przez 2 lata własne auto ar-
tystka przejechała na śmierć na jednej z ulic
Rzymu pewnego robotnika.

Obrońca starał się udowodnić, że robotnik
wpadł pod auto sam, skutkiem własnej nieo-
strożności. Po dłuższej naradzie sąd skazał
artystkę na 5 miesięcy więzienia. (PAT).

„Nie damy ziemi skąd nasz ród”

10-letnia rocznica powstania wielkopolskiego

Odezwa Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny

Żołnierze, Rezerwiści i Powstańcy Wiel-
kopolscy!

W on czas Wielkiej Wojny Narodów, jako
żołnierze różnych formacji, zbrojni w przed-

cięstwa wszystkie orientacje, formacje i pro-
gramy, wszystkie podziały i przeszkody.

A z tego zrodziła się Polska wyzwolona.
Lecz zwyciężyć i spocząć na laurach — to
kłęska — jak powiedział Marszałek Józef Pił-
sudski. To też dziś znowu ponad waśnie party-
yjne i animozje osobiste stajecie pod sztandarem
Federacji, by jako Wielka Armja Rezer-
wowa stać się drugą obok Armji Czynnej,
opoką wolności i słusnych praw narodu pol-
skiego.

W dniu więc, kiedy najwierniejsi synowie
Polski, niezłomni bojownicy o wolność naro-
du, ryercscy i wytrwali synowie ziemi Wiel-
kopolskiej obchodzą rocznicę powstania 1918
roku — jak Polska długa i szeroka zaintonuj-
my pieśń - przysięgę:

„Nie damy ziemi skąd nasz ród”
Gen. Dr. R. Górecki
Prezes Zarządu Głównego
Federacji Polskich Związków
Obrońców Ojczyzny.

Warszawa, w grudniu 1928 r.

KRONIKA

Poniedziałek, 24 grudnia, Wigilia.
Wtorek, 25 grudnia Narodzenie Chr. Pana.
Środa, 26 grudnia, Szczepana Męcz.

CO GRAJĄ DZIŚ W KINACH:

Apollo — Anna Karenina.
Bajka — Skazańcy.
Casino — Prezydent.
Capitol — Ostatni rozkaz.
Czary — Tom Mix.
Corso — Władca skalnej doliny.
Dom Ludowy — Dziewczeta z baletu.
Era — Arcyksiążę jedzie.
Grand - Kino — Panika.
Luna — Ostatni carowie.
Miejskie Kino Oświatowe — Szaleńcy.
Mimoza — Zalotny książę.
Odeon — Riff i Raff jako strażacy.
Palace — Ludzie bez nerwów.
Resursa — Mój przyjaciel Harry.
Record — Ostatni wyścig.
Splendid — Jochivara.
Spółdzielnia — Nadkobieta.
Słońce — Noc przygód miljardierki.
Wodewil — Marynarze i blondynki.
Victoria — Tajemnica pani S.
Zachęta — Hijeny nocy.

SEKCJA PRAWNA.

przy Tow. Rzecz. „Resursa” zawiadamia, że przyjęcia interesantów odbywają się we wtorki i piątki od godz. 7—8.30 wiecz.

PORADY PRAWNE DLA KUPCÓW.

Stowarzyszenie Drobnych Kupców i Przemysłowców Polskich — Andrzeja 34 komunikuje, że w poniedziałki i piątki od godz. 8 do 9-ej wiecz. odbywają się w lokalu Stowarzyszenia porady prawne dla kupców.

ZAWIADOMIENIE.

Towarzystwo Rzemieślnicze „Resursa” zawiadamia cechy łódzkie i powiatowe, że posiada na składzie druki umów terminatorskich, które nabywać można w biurze „Resursy” przy ul. Kilińskiego 123.

Zjazd Kół Samokształceniowych

W dn. 25 i 26 grudnia członkowie kół im. A. Mickiewicza i „Filaratów” zwołują zjazd w celu rozpoczęcia wspólnej pracy samokształceniowej.

Zjazd odbędzie się w lokalu tow. Krajowego przy Al. Kościuszki 41. Początek obrad o godz. 3.30 p. p.

Five'oclock'i „Kropki Mleka”

Znane ze swej humanitarnej działalności T-wo „Kropki Mleka” otwiera sezon karnawałowy „five'e clock'ami”, urządzeniami w restauracji „Oaza” (Narutowicza Nr. 20) w dniach 28, 29 i 30 grudnia b. r.

Nie ulega wątpliwości, że „taneczne podwieczorki” zwiabia szerokie koła sympatyków „Kropki Mleka”, ułatwiającej w ten sposób rendez vous dla całej towarzyskiej Łodzi, mającej na celu zasilenie tak potrzebnych instytucji funduszy.

Nocne dyżury aptek

Dziś dyżurują następujące apteki:
M. Lipca (Piotrkowska 193), M. Müllera (Piotrkowska 46), W. Groszkowskiego (Konstantynowska 15), Perelmana (Cegielniana 64), H. Niewiarowskiego (Aleksandrowska Nr. 37), Z. Jankielewicz (Stary Rynek 9).

Jutro, t. j. we wtorek:
L. Pawłowski (Piotrkowska 307), S. Hamburg (Główna 50), B. Gluchowski (Narutowicza 4), J. Sitkiewicz (Kopernika 26), A. Charemza (Pomorska 10), A. Potasz (Plac Kościelny 10).

Pojutrze, t. j. w środę:
E. Epstein (Piotrkowska 225), M. Bartoszewski (Piotrkowska 93), M. Rosenblum (Cegielniana 12), Sukc. Gorfaina (Wschodnia 54), J. Koprowski (Nowomiejska 15).

Komunikat

Najlepszą gwiazdką dla wszystkich jest los Wielkiej Loterii Lotniczej zorganizowanej na cel budowy pierwszej cywilnej szkoły pilotów w Radomiu.

Losy w cenie 1-go złotego nabywać można w Komitecie wojew. L. O. P. P., Piotrkowska 67, prawa oficyna, parter, od godz. 9-ej do 15-ej.

Wszystkim prenumeratom, czytelnikom, oraz przyjaciołom i sympatykom naszego pisma składamy serdeczne życzenia

Wesołych Świąt

Redakcja i Administracja
„Hasła Łódzkiego”

Trzydziestoletni jubileusz tramwaj

wypadł niezwykle okazale i uroczystie

W dniu wczorajszym Kolej Elektryczna Łódzka święciła jubileusz 30-letniego istnienia komunikacji tramwajowej w Łodzi.

Na terenie remizy odbyła się podniosła uroczystość, w której wzięli udział przedstawiciele miasta, duchowieństwa, zarządu K. E. Ł. i pracownicy tramwajowi.

Przed głównym wejściem zbudowana została brama tryumfalna opasana wstęgą pamiątkową.

Wagony tramwajowe udekorowano chorągiewkami oraz ozdobiono specjalnymi tablicami jubileuszowymi.

O godz. 8-ej na dziedzińcu remizy przez zarządu K. E. Ł., p. Biderman, przeciął wstęgę pamiątkową, poczem goście udali się na Mszę św., celebrowaną przez J. E. księdza biskupa Tymienieckiego.

Po Mszy św. przez związku pracowni-

ków tramwajowych, p. Marciniak, złożył w imieniu swych kolegów zarządowi i dyrekcji K.E.Ł. w osobach p. Bidermana, adw. Gołkonta i p. Petersa, oraz dyr. Wernera i wicedyr. Ringa życzenia.

Następnie wygłosił przemówienie J. E. ks. biskup Tymieniecki, prezes zarządu K. E. Ł. p. Biderman, p. Gołkont, p. Marciniak i inni.

Po uroczystości wszyscy jej uczestnicy zgromadzili się na dziedzińcu wraz z członkami zarządu i dyrekcji, w celu dokonania wspólnego zdjęcia fotograficznego.

W końcu członkowie zarządu K.E.Ł. odbyli posiedzenie, na którym zadeklarowano zgodę na ofiarowanie 30.000 zł. przeznaczonych na wykończenie budowy domu związkowego pracowników tramwajowych w Łodzi.

Katastrofa budowlana na Bałutach

Dwie osoby dotkliwie pokaleczone

Około godziny 3-ej w nocy lokatorzy domu przy ulicy Żorawiej na Bałutach zostali zbudzeni ze snu straszliwym hukiem, wskutek którego zadrżała w posadach cała posesja.

Jak się okazało podłoga na I-em piętrze wskutek zmurszałych belek sufitu załamała się i rodzina, zamieszkała na I piętrze wraz z meblami i gruzem znalazła się na parterze wspomnianego domu.

Przerażliwy huk zaalarmował wszystkich mieszkańców domu, którzy niezwłocznie przybiegli na pomoc nieszczęśliwym.

Z pod gruzów wydobyto Olgę Szulc i 3-letniego jej syna Ryszarda.

Oboje odnieśli szereg ciężkich uszko-

dzeń ciała i w stanie ciężkim przewieziono ich do szpitala w Radogoszczu.

Pozatem wezwane pogotowie ratunkowe udzieliło pomocy 5 poszkodowanym osobom, które również ucierpiały wskutek katastrofy.

Powiadomione o powyższym władze policyjne natychmiast przybyły na miejsce. W zastępstwie naczelnika urzędu śledczego przybył p. komisarz Mika, kierownik III komisariatu p. Wilczyński oraz architekt miejski.

Jak ustaliła komisja, wspomniany dom wskutek zarysowania się wszystkich ścian, grozi w każdej chwili runięciem, wobec czego władze bezpieczeństwa nakazały wszystkim lokatorom natychmiast opuścić mieszkania.

Napad bandycki w Aleksandrowie

Dwaj złoczyńcy napadli w nocy na dom kupca

Kupem opryszków padło 300 złotych

Wczoraj Aleksandrów był terenem napadu bandyckiego, dokonanego na dom tamtejszego kupca Szlamy Wołkowicza.

O godzinie 10 min. 30 do mieszkania jego ktoś cicho zapukał.

Skoro kołatania powtarzały się, Wołkowicz wstał i nie przeczuwając nic złego, otworzył drzwi.

Do mieszkania weszło dwóch nieznanych osobników, z których jeden świecił lampką elektryczną, drugi natomiast, zagrożony Wołkowiczowi rewolwerem, zmusiło go do milczenia, a skoro kupiec usiłował podnieść alarm, wymierzył mu cios pięścią w oczy. Wołkowicz upadł na podłogę.

Złoczyńcy zażądali od niego wydania pieniędzy, grożąc w przeciwnym razie śmiercią.

Obawiając się nieszczęścia, kupiec wyjął z portfela 50 zł. i wręczył je bandytom, oświadczając jednocześnie, że pieniędzy więcej nie posiada.

Niezadowolony z tego złoczyńca, polecił Wołkowiczowi obudzić pozostałych członków rodziny, opuścić łóżka wszystkim, prócz żony kupca, leżącej po połoju, i stanąć twarzą do ściany.

Bandydzi zakomunikowali obecnym, że jeśli ktokolwiek podniesie alarm, wszyscy zostaną zabici. Po tem ostrzeżeniu wzięli się do poszukiwań.

Teatr i Sztuka

REPERTUAR SWIATECZNY TEATROW MIEJSKICH.

TEATR MIEJSKI.

We wtorek tylko jedno przedstawienie o godz. 8.30. Dany będzie „Broadway”.

Kasa czynna od godz. 6 w gmach teatru. W środę trzy przedstawienia. O godz. 12 w poł. „Długonosy Karzełek i Królowa Gaska” po cenach najniższych. O godz. 3 i pół po poł. „Księżniczka Turnadot”, a o godz. 8 m. 45 „Broadway”.

W czwartek poraz ostatni „Kupiec Wenecki”.

TEATR KAMERALNY.

Codziennie o godz. 9 wieczorem „Sekretarka pana prezesa”.

W środę o godz. 5 p. p. „Simona”. Bilety w pierwsze święto od 6 w gmachu teatru — Traugutta 1.

TEATR POPULARNY

Ogrodowa Nr. 18.

Po południu i wieczorem „Jojne Firufkes”.

TEATR POPULARNY W SALI GEYERA.

„Co on robi w nocy”.

SYN ojcu,
OJCIEC synowi,
CÓRKA matce,
MATKA córce,
KAŻDY każdemu

kupuje na Gwiazdkę
piękną książkę w księ-
garni

GEBETHNERA i WOLFFA

Piotrkowska 105.

1055

ZAWIADOMIENIE.

Niniejszem podajemy do wiadomości Sz. Publiczności, że zapowiadany przez nas film p. t.

Spowiedź 16-letniej

na tle tragedji seksualnej i ostatniego procesu berlińskiego ucznia

Kranza i Szellerówny

został narazie odroczone z przyczyn cenzuralnych.

DYREKCJA

Kino-teatru „PALACE”.

Odlewnia czcionek, stereotypownia i fabryka linii mosiężnych

Stanisława Jeżyńskiego

Warszawa, Ogrodowa 55. Tel. 5-50 i 5-70.

POLECA: najwyższej jakości czcionki drukarskie produkcji własnej

Firma nagrodzona medalem złotym na międzynarodowej wystawie zdobniczej w Paryżu w roku 1925.

Kino DOM LUDOWY

PRZEJAZD 34

634

Dzisiaj i dni następnymi
Wspaniały program świąteczny!
Przepiękny film p. t.
- Dziewczeta z baletu -
Arcydzieło film. z życia cesarskich baletnic
w Wiedniu, osnuty na tle romansu najpięk-
niejszych kobiet Wiednia.
W roli głównej nasza
słynna rodaczka **Dinna Gralla.**
Ceny miejsc: W dni powszednie na wszystkie
seanse, zaś w sobotę, niedzielę i święta od
godz. 1-3 pp. I m. 75 gr., II. 40 gr. III. 30 gr.
W sobotę, niedzielę i święta od godz. 3 pp.
I miejsce 90 gr., II m. 50 gr., III. m. 40 gr.

Lecznice Kasy Chorych nieczynne

Pomocy lekarskiej w czasie świąt udzielać będzie Pogotowie Kasy

W związku z nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia praca we wszystkich Wydziałach, Lecznicach, Oddziałach Powiatowych i innych Zakładach Kasy Chorych m. Łodzi kończy się w poniedziałek, t. j. 24 b. m. o godzinie 12-ej, z wyjątkiem aptek, które czynne będą do czasu wykonania wszystkich zleceń przez lekarzy recept.

W dniu tym po godzinie 12-ej pomocy lekarskiej udzielać będzie pogotowie Kasy (ul. Wólczańska Nr. 225, tel. 8-10).

W dniach 24 od godz. 12-ej, 25-go i 26-go

od godz. 9-ej do 17-ej ustanowiony zostaje dyżur lekarski w Lecznicy III-ej (ul. Łągowicka Nr. 45) dla północnej części miasta (od ul. Brzezińskiej i Aleksandrowskiej w stronę Radogoszcza), natomiast w pozostałych dzielnicach, t. j. od ul. Brzezińskiej i Aleksandrowskiej w stronę Placu Reymonta (Górny Rynek) pomocy lekarskiej udzielać będzie pogotowie Kasy (ul. Wólczańska Nr. 225).

Dnia 25 i 26 b. m. dyżurować będą w dzień od godz. 12-ej do 19-ej apteki II i III, w nocy zaś tylko apteka II-ga.

Film

"Resursa".

"MÓJ PRZYJACIEL HARRY".

Jedyne kino w Łodzi, które na program świąteczny wystawiło film z Harry Liedtkiem o nader interesującej treści i pogodnym scenariuszu.

Już sama treść przykuwa uwagę widza, nie dodając oczywiście brawurowej gry ulubieńca publiczności.

Już na początku filmu wykołajeniec życiowy Harry, powraca do Marsylii. Tu poznaje go w nader dziwnych okolicznościach król bawelny Wiljam Sanderson i poleca mu śledzić, oczywiście za wysoką opłatą, kobietę, do której zapalał gorącą miłością i z którą pragnie się ożenić.

Po kilku tygodniach śledzenia Harry, podczas podróży na okręcie zakochał się w Mary i odtąd zapomniał o zleceniu, strzegł jej na każdym kroku, ale dla siebie samego. Niebawem okazało się, że Luigi i rzekoma ciotka, do której udawała się narzeczona Sandersona, byli parą oszustów. Dzięki jednak przezorności Harrego szantażysta znalazł się za kratą, a Harry poślubił ukochaną kobietę. (S.)

Otwarcie kino-teatru „Bajka”

Dnia 25 b. m. nastąpi uroczyste otwarcie nowej placówki kulturalnej i rozrywkowej dla szerokich rzesz kino-teatru „Bajka” przy ul. Franciszkańskiej 31a. Kierownictwo tego nowego przybytku sztuki spoczywa w ręku tak wybitnego fachowca, jakim jest długoletni dyrektor kina „Casino”, p. Wacław Gądryński oraz p. Józef Białkowski, co stanowi pełną gwarancję, że kino to stać będzie na wysokim poziomie artystycznym. Inauguruje sezon wstrząsający dramat, osnuty na tle tragedji bezrobotnych, których los pchnął w ramiona zbrodni p. t. „Skazańcy”.

Na gwiazdkę

Nowe wydawnictwa księgarni
L. Fiszer

Z. Dromlewiczowa — „Dziecko kina”, powieść dla młodzieży, w kartonie, z dwubarwną ilustracją, str. 134, cena zł. 5.

Jest to przemila opowieść o małym Dicku, który przez przypadek stał się genialnym aktorem filmowym, a dzięki wrodzonemu talentowi, wspaniałej grze i poczuciu obowiązku, umiał i mógł pomóc rodzicom do podźwignięcia się z ruiny majątkowej.

Autorka bardzo szczęśliwie przeprowadziła dość trudną akcję i okazała dużą dozę subtelności wniknięciem w psychologię utalentowanego i niezsutego dziecka.

B. Hertz — „Tastaś”, wyd. III. Opowieść o tem, jak Kaczorek poznawał świat. Karton z trójbarwną ilustracją, str. 32, cena zł. 5.

Książeczka ta, przeznaczona dla dzieci, mówi sama za siebie. Wznowienie jej napewno przyjmą z wdzięcznością nasi milusińscy. Duży format książek obrazkowych, duży i wyraźny druk, czternaście ilustracji w tekście oraz zabawna treść o przygodach zabłąkanego kaczorka — oto walory najmilszego podarunku dla dzieci.

G. Ferry — „Skarby „Mglistych Gór”, (przekład) — powieść dla młodzieży, karton z dwubarwną ilustracją, str. 142, cena zł. 5.

Niezwykłe przygody poszukiwaczy złota w prowincji meksykańskiej Sonora, walki z Indianami, akcja pełna dramatycznych scen, a idea — „prawda zawsze zwycięża” — to wszystko składa się na wielce interesującą lekturę dla młodzieży.

M. Goudareau — „Tajemnica zamku” (przekład), powieść dla młodzieży, w kartonie z dwubarwną ilustracją, str. 143, cena zł. 5.

Laureat Akademii Paryskiej, Goudareau, dał w swojej powieści fascynujące przeżycia dwojga dzieci, Janka i Madzi. Powieść czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej strony.

A. Brazil — „Przyjaciółki” (przekład z angielskiego), powieść dla dziewcząt, z sześcioma ilustracjami, str. 245, w wytwornej płóciennej oprawie, cena zł. 12.50.

W chorobach krwi, skórnych i nerwowych, osiągamy przy stosowaniu naturalnej wody gorzkiej „Franciszka Józefa” regularne funkcjonowanie narządów trawiennych. Wybitni specjaliści przyznają, że są niezmiernie zadowoleni ze zbawiennego działania dawno stwierdzonego, wody Franciszka Józefa. Zadać w aptekach i składach aptecznych,

Angela Brazil zajmuje w literaturze angielskiej wybitne stanowisko nie tylko jako autorka powieści dla dziewcząt, lecz jako autorka, która jak prawie nikt inny, rozumie dziewczęta, czuwa się w ich życie, kocha je, umie wprost przez powieść z nimi współżyć.

To też poczytność jej prac jest ogromna. „Przyjaciółki” są właśnie taką powieścią.

Świetne sceny z życia pensjonarskiego, piękne opisy przyrody Anglii upajające pejzażem Monte Carlo, a nadewszystko zasadnicza idea powieści — przykład samodzielności dziewcząt, róża i ciernie tej samodzielności — to wszystko wypełnia każdą stronę tej wspaniałej i pozytywnej książki.

Dr. St. Hincza — „Pierwszy Żołnierz Odrodzonej Polski”, wydanie luksusowe, pierwsza monografia o Marszałku Piłsudskim, str. 425, z 36 ilustracjami i 4 mapami, cena zł. 25.

Aczkolwiek dzieło to wydane zostało z okazji 10-lecia istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, jednakże dzięki swemu pięknemu wydaniu stanowi cenny podarunek gwiazdkowy.

O wartości dzieła świadczą liczne i pochlebne wzmianki w prasie jak pod adresem autora, tak i wydawcy.

„Gdy się Chrystus rodzi”

Zwyczaj wigilijne w tradycji polskiej

Zapowiedź wigilijnego święta stanowiły od dawien-dawna opłatki. Wypiekano je przy kościołach i po klasztorach, lejąc bardzo rzadkie ciasto pszenne w żelazne foremki. Foremki te odznaczały się nieraz artystycznym i subtelną rysunkiem, rzeźbionym w metalu na ich ściankach.

Przybycie organisty lub zakonnika z opłatkami było zawsze radosnym wydarzeniem. Zapowiadało ono koniec smutnego Adwentu i rozpoczęcie wesołego święta Narodzin Pańskich.

Za dawnych czasów przestrzegano surowo, by w dzień wigilijny jeść tylko raz na dzień, po zejściu pierwszej gwiazdy. Od rana trawiono czas na uroczystych przygotowaniach do tego wieczornego posiłku, zwanego wigilią, postnikiem.

Obyczaj uświęcenia uroczystości religijnych ucztą jest bardzo stary i sięga czasów pogańskich. Może więc i nasza chrześcijańska wigilia łączy się tradycją z jakimś świętem słowiańskim. Istnieją ślady, że święto takie obchodzono na początku zimy: miało ono na celu uproszenie urodzaju na rok następny. Z drugiej strony wigilijna ucztą posiada pewne znamiona święta, obchodzonego ku czci zmarłych. Zwyczaj bowiem, powszechnie w Polsce panujący, nakazywał, by przy stole wigilijnym były nakrycia dodatkowe dla tych, co na zawsze odeszli. Pol w swej „Pieśni o domu naszym” tak pisze o tym obyczaju:

...trzy krzesła polskim strojem
Kolo stołu stoją próżne,
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne.
I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy,
Bo w tych krzesłach siedzą duchy
Nikt nie pyta, o kim mowa,
Wszyscy wiedzą, co się święci.
Łzą się ucztę rozpoczynają,
Niemo liczy się drużyna
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,
Z nieobecnych i poległych...

Zwyczaj przygotowywania nakryć dla zmarłych członków rodziny przechował się u ludu. Dziś zaciera się on, i w niektórych okolicach wieśniacy pozostawiają tylko po uczcie wigilijnej bochen chleba na stole. by zeń sobie Pan Jezus mógł ukręcać, kiedy w nocy przyjdzie po kolędzie.

Do obrzędów wigilijnych, wspólnych i dworom szlacheckim, i wiejskim chatom, należało ustawianie w kącie izby czy też komnaty snopów zboża, podkładanie siana pod obrus i łamanie się opłatkiem, a czasem u ludu kawałkiem chleba.

W domach zamożniejszych nie brakło licznych gości, w mniej zamożnych zbierała się w każdym razie cała rodzina. Po zapaleniu światła, po sproszeniu do stołu i gości, i domowników, gospodyni lub gospodarz przystępował z opłatkiem do każdego, łamiąc się z nim i życząc Dosiego roku. Wszyscy uczestnicy wieczerzy, nie wyłączając służby, mieli obowiązek powtórzenia onego przełamania się pomiędzy sobą. Ślicznego tego, braterskiego obyczaju nie zdołał czas dotąd wykorzystać.

Bo też wieczór wigilijny, to najszerzej, najbardziej uczuciowe święto polskie. Ślicznie też o niem pisze Lucjan Siemiński:

O ile nie radbym na wigilję błądzić wśród śnieżnej zamieci... o tyle markotno mi było... zajeżdżać w tym dniu przed ganek obywatela świata. Nie dlatego, żebym miał być źle przyjęty lub nieopatrzony w wykwinie nawet wygody! — O, bynajmniej! — Przecież ten rodzaj ludzi należy do wielkich czcicieli komfortu. — Ale czego bym nie znalazł, jak dwa a dwa cztery, to powitania z opłatkiem w rękę, życzeń Dosiego roku, rybnej ucztę, spożytej na sianku, w licznej gronie rodziny i przyjaciół, piosnki, śpiewanej przez pastuszków, która się nazywa kolęda, a nade wszystko tego uroczystego spokoju, wesela i niebiańskiej harmonii, jakgdyby chór aniołów przygrywał na multankach i wiolach Nowo-

narodzonemu Dzieciatku. Zresztą, kto wie, możeby się znalazło jedno i drugie... ale co byłoby najtrudniej, to znaleźć tę atmosferę patriarchalną, tę poezję swobody i wesela pod słomianą strzechą, która w cudownej tej nocy napępnia powietrze pieśnią: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

I dalej ten sam autor opowiada, jak w wieczór wigilijny pewien szlachcic polski, kopiąc się przez zasy śnieżne wśród gęstej zady, zajeżdżał, nie wiedząc o tem, przed dom swego największego wroga. Zajeżdżał, wszedł do komnaty jadalnej w chwili, gdy gospodarstwo siadali do wieczerzy. Nieprzyjacielem, spojrzawszy sobie w oczy i poznawszy się wzajemnie, stanęli, jak wrzy. Ale pani domu podeszła do gościa z opłatkiem w rękę. To samo uczynił po chwili i mąż, za jej przykładem. Padło ciche wahające się: „Dosiego roku”, a po niem stopniały dawne żale, i pokój zapanował w zagniewanych dotąd sercach.

A jakimże drogiem świętem była dla Polaka wigilia, obchodzona zdala od rodzinnej ziemi, czy to w rozgwarze „paryskiego bruku”, czy pod zaśnieżonym wygnaniem niebem północy, kiedy jedyne przypomnienie Polski stanowił okuch Anielskiego chleba, z ojczyzny przysłany! Wtedy ucztą wigilijna stawała się niby komunją, przy której spożywano wspólnie gorzki chleb tęsknoty, pito wspólnie z kielicha nadziei, co mistyczny i niewidzialny, pochylał się jednak ku ustom spragnionym.

Skład wigilijny zależał od zamożności gospodarstwa. W dworach szlacheckich podawano barszcz z uszkami, zupę rybną lub migdałową, grzyby z kapustą, najrozmaitsze gatunki ryb, wśród których królował karp na-

szaro, szczupak po żydowsku i lin w galarecie. Na zakończenie szły lżejsze dania, a więc łamańce z makiem, kompoty z suszonych owoców. We wschodnich ziemiach kresowych obowiązywała kutja, t. j. pszenica, omie lana nieco, mieszana z miodem.

Ucztę u ludu bywały, oczywiście, skromniejsze. Sledź zastępował ryby. Nie brakło jednak barszczu, klusek na oleju, kapusty z grzybami, kaszy jaglanej i ulubionych na Mazowszu klusek z makiem i z miodem.

Ilość potraw wigilijnych dosięgała czasem dwunastu. Jeśli ich było mniej, przestrzegano w niektórych okolicach parzystości liczby, aby uniknąć nieszczęścia w ciągu roku.

W niektórych okolicach Małopolski kładziono przy wieczerzy wigilijnej u ludu po kilka główek czosnku, który jakoby ma moc oddalania chorób. Pod stołem zaś układano żelazo od pluga, by krety nie psuły roli.

Izbę w Krakowskim stroju na wieczór wigilijny w świąty, wycięte z kolorowych opłatków i wieszane u sufitu. Wieszają też u powały gałęzie sośniny, strojne w jabłka i orzechy, na uciechę dla dzieci i czeladzi. Drzewka te wiszą nienaruszone do świętego Szczepana.

Ilość snopów słomy bywa rozmaita. Czasem jest ich aż cztery: z pszenicy, z żyta, z owsa i z jęczmienia, czasem mniej, zależnie od tego, jakie gatunki zboża się wysiewają. Przy wnoszeniu tych snopów gospodarz rad wymawia symboliczne słowa „Słoma do chałupy, a bieda z chałupy”. Jeden z tych snopów rozściela się na podłodze, inne ustawia się w kącie. Pozatem długimi żdźbłami słomy pokrywa się stół. Niekiedy obsypuje się go ziarnem, niekiedy tylko sianem się do zasłania.

Ze snopa, stojącego w kącie, wyciągają domownicy żdźbła i ciskają je ku górze, by się ucpiły u stragarzy¹⁾. Z rzucania tego wy-

prowadzają rozmaite wróżby co do przyszłych urodzajów. Słoma ta, uciepiona pod sufitem, wisi do św. Szczepana. Potem podściela się ją kurom, by obficie niosły jaja.

Słomę z podłogi pali się w polu, aby chwasty nie głuszyły zboża. Wreszcie słomę ze stołu niesie się bydłu, wraz z okuchami opłatka.

Albowiem po wigilijnej wieczerzy w polskiej chacie idzie gospodarz do stajenki i obórki, by się z ich mieszkańcami podzielić resztkami jedzenia. Dawniej wierzono też powszechnie — i dziś jeszcze z tem wierzaniem się spotykamy — że w nocy Narodzenia Pańskiego zwierzęta ludzkim przemawiają głosem, i że niebo się otwiera o północy, a kto wart tego, ten je oglądać może.

Poskonionej wigilij, gospodarz z gospodynią idą też do sadu i tam obwiązują drzewa, lub też biją je powrośkami zrobionymi ze słomy, która była w izbie, a to dlatego, by obficie rozdziły. Czasem też grozi jedno z nich: „Zelne cię, krzaku, kiejs nie urodził owocu na wilję”. Drugie zaś odpowiada: „Nie trza go ścinać, tylko mu trza ze święconej słomy pasek zrobić”.

To zboże bowiem, które podczas wieczoru wigilijnego było w izbie, uchodzi za święcone, i na śmietnik nigdy go nie wyrzuca.

Kto ma pszczoły, ten je również odwiedza, pukając do ulów, by się w roku przyszłym obfitość miodu w nich znalazła.

Wieczór wigilijny był i jest po dzień dzisiejszy wieczorem wróżb najrozmaitszych. Gospodarze liczą wyciągane ze snowa wigilijnego kłosy, rachują pełne i niepełne i ztego wysnuwają wnioski o przyszłych urodzajach. Ze żdźbeł, wysnuwanych z pod obrusa, wróża parobcy i dziewczęta, rychli ich wele czeka, żdźbło długie i zielone przepowiada staropaniństwo lub starokawalerstwo. Ży, że jeszcze rok cały na męza lub żonę czekać trzeba. Żdźbło zupełnie zeschłe przepowiada ślub w najbliższym czasie; zwiędłe wró z ilości polan drzewnych, ujętych, jako jako naręcz, wyprowadza się też wnioski, z przyszłością związane. Naręcz parzysta jest, oczywiście, dobrą wróżbą. O tem, z której strony ma się dziewczyna spodziewać przybycia narzeczonego, wróżą się ze szczekania psa. Puszczą się też na podłogę głodnego koguta, z zawiązanymi oczami, i zniecka zdjąwszy mu zasłonę, obsypuje się go ziarnem. Na ten pokarm rzuca się ptak zgłodniały, a gdy się już najadł dowoli. obecni liczą pozostałe ziarna i z ich ilości parzystej, lub nieparzystej wróża o małżeństwie.

W dzień wigilijny nie należy płakać, bo się będzie płakało przez rok cały; nie należy też pożyczyc pieniędzy. Dobrze jest natomiast obmyć się wodą, do której kilka groszy wrzucano. Pić jednak wody nie trzeba, boby się przez cały rok miało pragnienie. Zaleca się gryść orzechy, ażeby do następnych godów zęby były zdrowe.

Kto chce, by mu zboże pięknie plonowało, ten powinien, jadąc lub idąc na pasterkę, najpierwszy stanąć w kościele. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia święci lud nasz w skupieniu, poważnie. Dopiero od drugiego dnia świątecznego, od św. Szczepana, rozpoczynają się odwiedziny krewniaków i znajomych, wesołe obrzędy kolendowe, chodzenie z szopką i z Herodami.

Górale w tymże dniu dają owies do święcenia w kościele, by się doczekać obłitego urodzaju. W okolicach Rabki, podłaźnicy, przychodzą rano do chaty, sypią garście owsa po kątach izby, z życzeniem:

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie,
Żeby się darzyło w komorze!

W niektórych zaś okolicach Małopolski młodzi parobcy, myślący o zalotach, odwiedzają również w drugie święto chaty bogdanki i badają, gdzie panuje wzorowy porządek. Dziewczęta niedbałe o ład w chacie, trzymające śmieci pod progiem, muszą wtedy okupować się wodką.

¹⁾ Belka w suficie poprzeczna. In. tram. albo siestrzan



Przypowieści i przysłowia ludowe na Boże Narodzenie

Na wigilję, każdego, choćby wroga, w dom przyjąć należy.

Wigilia piękna i jutrznia jasna, będzie stodoła ciasna.

Kiedy gody (Boże Narodzenie) ciemne, to stodoły jasne.

Boże Narodzenie po lodzie, Wielkanoc po wodzie.

Na Boże Narodzenie weseli się wszelkie stworzenie.

Jeśli pola zielone, gdy się Chrystus rodzi, gdy zmartwychwstaje, śnieg z mrozem kołaczom przeszkodzi.

Zielone Boże Narodzenie, a Wielkanoc biała, z pola pociecha mała.

Na Boże Narodzenie
Przybyło dnia na kurze stąpnięcie.

Kto rano w Wigilję wstaje, ten przez rok cały nie będzie ospały.

Która dziewczka w Wigilję mak tarła, do roku zamaż wyjdzie.

Jakiś w Wigilję, takiś cały rok.

Myśliwy, który upoluje w Wigilję zwierzyne, będzie miał szczęście przez cały rok.

Koło świętej Ewy (24 grudnia), nos długie cholewy.

W Wigilję trzeba bydło staranniej niż zwykle oporzadzić.

Kto na św. Szczepana, co rak zmienia pana, zła na nim sukmana.



Celina Milewska.

Na etapie...

Wspomnienie z r. 1864.

Wspomnienia z roku 1864.

Upadli ze zmęczenia i znużenia. Ostatni etap opuścili przed dwunastu godzinami — więzieniu w Stepach Kipczackich, gdzie na noc się zatrzymali. Ojległość do miejsca następnego postoju, oddalona była na dziesiątki wiorst.

Teraz noc czekała ich w Rastynie, małym miasteczku Syberyjskim. Tu miano spocząć tu miano spędzić... wieczór wigilijny.

Wieczór wigilijny na szlaku Syberyjskim. Śnieżna biel bezkresnych Stepów, olbrzymia kupała stado ciemnego nieba utkanego milionami gwiazd, długi korowód więźni — zesłańców powstania roku 63-go.

Szli w milczeniu. Brzękały kajdany, chrapały konie konwujujących kozaków. Od czasu do czasu słychać nawoływanie lub przekleństwo.

I straż pragnęła spocząć, ujrzeć dymiący i kipiący samowar i butelkę samogonki...

Zesłańcy szli w milczeniu. Przeszali czuć... myśleć... szli bezwolnie oszaleli bólem i tęsknotą...

Dzisiaj Wigilja... dziś hen tam na Zachodzie, nad Wisłą... przy biało nakrytym stole zgromadzona cała rodzina... łamie się opłatkiem... spożywa ucztę wigilijną... Jedno miejsce niezajęte... na nim spoczywają zażalone i smutne oczy obecnych... jedno miejsce tylko czeka na tego, który hen w Syberyjskim stepie idzie śladami ojów i dziadów... idzie aby nie przerwać łańcucha zmagania... bólów, i walk o wolność idzie aby w końcu... zwać żyć.

Bo podawało jedno pokolenie drugiemu ręce w łańcuchu niewoli, pradziada kuto — z dziadem, dziada z ojcem... ojca z synem... Zrywano się w tylokrotnych powstaniach, aby zniszczyć ogniwa łańcucha nie mieli jednak siły... słabi byli wróg był silniejszy... ale przez szarpnięcie, przez zmaganie się, przez walkę i ból — przez wspomnienia co szły z dziada na wnuka... byli coraz hartowniejsi i silniejsi... Z dziada na ojca, z ojca na syna, szła moc i łańcuchy. Aż przyszedł wnuk — aż przyszedł ten ostatni — przyszedł rok 1914 — 20 i szarpnęły się łańcuchy raz jeszcze i — padły...

Jeśmy wolni!
Od lat dziesięciu Gwiazda Betlejemską, nad Wolną Rzeczypospolitą jaśniej...

Nad Stajenką Betlejemską sztandar Orła Białego też powiewa...

U stóp tronu Króla Króli — Dzieciątka Bożego i Polski ambasador hold składa...

...Ale w r. 1861... na Stepie Syberyjskim, w noc wigilijną grupa powstańców dźwigała kajdany niewoli...

Pędzono ich w bezkresną dal — bo o wolności marzyli — i za wolność tą poszli w bój...

Noc była jasna... gwiazdy świeciły... tworząc mleczne drogi nien na Zachód — po których biegły oczy zesłańców...

Konwoj szedł zmęczony... znużony... obojętnie bólem fizycznym i moralnym...

Konie chrapały... kozacy i straż nie widzieli końca dzisiejszego dnia... Więźniowie nie czuli nic...

— Pastoj!... Zachybotął się łańcuch żywych ciał...

Straż zeszała z koni — zaczęła się narada... Wczoraj szalała burza śnieżna, stepowa „burjan” jak ją tu nazywają, zawiała drugi, poprzewracała drogowskazy — zmyłono ślady...

— Czort pobier!... klili kozacy. Należy czekać do rana... idąc tak, niewiadomo dokąd by się zaszło...

Zbita gromadka więźni, przytulała się do siebie — grzano się ciepłem własnym ciał...

Trzech kozaków otrzymało rozkaz, szukania drogi. Pojechali...

Trzech pozostało. Dwóch zwinęło się w szynel — głowę spuścili w kolnierze i spali — siedząc na koniach...

Czuwał jeden. Oparł się na karabinie i patrzył osłupiałym, bezmyślnym wzrokiem w step — i na gromadkę zesłańców.

Na niebie błyszczały wciąż gwiazdy... W zbitej gromadce odezwał się szloch.

Ktoś młodszy... słabszy płakał... Ktoś wyjął z piersi medalik i całował.

Ktoś tulił grudkę ziemi zaszytą w skaplerzu...

Ktoś tulił do ust... portrecik... A później... ktoś w pół stumionym głosem zanucił.

„Bóg się rodzi — Moc truchleje...”

I popłynęła, hen daleko na szlaku Syberyjskim p.eśń kolęda... Pieśń nadziei... pieśń zwastująca zbawienie...

Śpiewali... śpiewali polską kolędę...

I nagle uwagę ich zwróciło, coś — jakby stłumione łkanie, które wywrało się z piersi pilującego żołdaka... Nie było to złudzenie. Żołnierz, co pilnował ich stojąc oparty na karabinie, usiłował stłumić wyrwijące się z ust jęki, potem padł na ziemię i szlochął gwałtownie powtarzając po polsku:

— Kolenda! Kolenda!

Rzucili się ku niemu podnieśli obsypali pytaniami. Wolął płacząc: — polak — ja też polak!

I dodawał błagając: Kolenda... Kolenda...

Więć skupili się koło niego i śpiewali kolędy jedna po drugiej, uspokajali się potrochu, bezmyślna twarz jego ożywała się; echa wspomnień na niej zagrały i płacząc opowiedział w rosyjskim języku, jak w dzieciństwie jako syn powstańca z roku 1831, wyrwany

z domu rodzicielskiego, wywieziony do przetrutku rosyjskiego pod nikczemnym protekstem że trzeba dać opiekę dzieciom poległych lub zesłanych ojców — powstańców z r. 1831.

Wywieziony zapomniał kim był...

Słowa i melodia kolędy przypomniły mu dzieciństwo... matkę... ojca... Polskę...

Ogniwo łańcucha z r. 1831, zadzierzgnęło się o ogniwo łańcucha z 1863... społo się, dało się...

Dwaj kozacy spali, karabiny trzymając oburącz, a zbity gromadka zesłańców coś rzucił we wrogim języku... no bo żołnierz po polsku nie rozumie... ale dusza w nim polska — słowa kolędy ją zbudziły...

Polakiem jest... i braciom pomoże uwolnić ich... i pójdzie z nimi do Polski...

Gwiazda Betlejemską co świeci dziś na niebie... zaprowadzi ich do Ojczyzny... na zachód... jak ongiś. Trzech mędrców co szli z darami dla Dzieciątka... Postanowiono...

Rzucają się na śpiących Chwila — i rozbromi — ubrani w świtki zesłańców sami musieli oddać broń i szynel...

Zamienili się rolami.

W parę godzin, powrotną drogą szedł konwój zesłańców.

Była śnieżna zawieja, ślady ich ginęły, ale prowadziła ich Gwiazda Betlejemską...

Wiedzieli, że nie zginą... Więć śpiewali... śpiewali polską kolędę...

Bóg się rodzi — Moc truchleje!
I szli... szli ku Polsce!

Wielkie misterjum religijne.

Skąd się wzięły jasełki i kolędy?

Niepodobna wyobrazić sobie świąt Bożego Narodzenia bez kolęd. Gdy wieczerza wigilijna dobiega końca i zapłoną światła na choimce, popłyną radosne, proste w formie, a jednocześnie pełne uroczystej nuty kolędy. Mnóstwo ich jest, a tematem każdej jest radość z Narodzin Dzieciątka. Większość kolęd jest pochodzenia ludowego, łatwo to poznać z prostych i serdecznych, rubasznych, a tak szczerym humorem nacechowanych zwrotek. We wszystkich występuje lud hold składający w formie prostej, jak prostym jest lud, i rozradowany, boć przecie Dzieciątka narodziło się w nędznej stajence i pierwsze dary przyjęło od pastuszków.

Powstanie kolęd związane jest ze świętym Franciszkiem Serafickim. Rozmyślając nad Narodzeniem Chrystusa w ubóstwie, zrozumiał, że najsilniej fakt ten przemawiać

powinien do ludu, do najszerzych rzesz wiernych. Ówczesne jednak nabożeństwa, z uczczeniem Narodzenia Bożego związane, cechowały skupione rozmyślenia, a nie było w nich tej radości jaką czcić chciał św. Franciszek Narodzin Chrystusa. Postanowił więc cud betlejemski w żywej, odtworzonej formie stawić przed oczy wiernych. Zwrócił się ze swym pomysłem do Papieża Honorjusza, prosząc o pozwolenie na wystawienie aktu Narodzin Dzieciątka. Po trzymaniu zgody Papieża urządził jasełkę, nazwał go droty siana i kazał przyprowadzić osła i wołu. Gdy wszystko było urządzone i zebrały się tłumy wiernych, jasełki te silnie wywarły wrażenie, że radość niezwykła opanowała zebranych i popłynęły pieśni, chwalcące Pana. Przy jasełkach św. Franciszek odprawił Mszę św., wygłaszając po niej natchnione ka-

zanie. Na obecnych ta noc w grocie przy jasełkach spędzona, wywarła niezapomniane wrażenie. W ten sposób powstała Pasterka, jasełki i kolędy, czyli pieśni ku uczczeniu Bożych Narodzin śpiewane. Z biegiem lat ułożone coraz więcej kolęd, a w ich układaniu najżywszy udział brał lud.

Jak widzimy, początkowo Pasterka, jasełki i kolędy tworzyły całość, jedno wielkie, religijne misterjum, ludowe widowisko sceniczne. Występowało w niem kilka osób, śpiewając zwrotki przy składaniu Dzieciątka darów. Z tych luźnych zwrotek powstawały następnie kolędy, coraz bardziej urozmaicone, nieraz pełne subtelnej poezji.

Do Polski Jasełki i kolędy przeniosły się w wieku XII wraz z zakonem Franciszkanów i szybko rozpowszechniły się. O ile jednak jasełki utrzymane zostały w tej samej formie, w jakiej zostały zapoczątkowane przez św. Franciszka, o tyle kolędy obce, włoskie, francuskie, i niemieckie, nie odpowiadały charakterowi ludu polskiego i posłużyły jedynie za wzór, według którego tworzone były następnie polskie kolędy ludowe, których zbiór obejmuje około tysiąca kolęd, wśród których są prawdziwe perły poezji ludowej. Kolędy włoskie mają wiele wdzięku i czułości, francuskie mają więcej pretensji literackiej, mniej ludowej, bezpretensjonalnej liryki, niemieckie kolędy są albo moralizujące, albo też rubaszne. Kolędy polskie zachowały na sobie piętno ludowych widowisk, niema w nich literatury książkowej, a jest jedyny styl, bogactwo dasadnych zwrotek i głębokie, szczerze uczucie. Niektóre z najpiękniejszych polskich kolęd ludowych, jeśli sędzić można ze stylu i niektórych zwrotek, powstały jeszcze w XIV wieku, a bogactwem stylu i uczucia stoją narówni, jeśli nawet w niektórych fragmentach nie przewyższają, utworów Kochanowskiego i Reja.

Kolędy układali przeważnie bakałarze szkółek parafialnych, oraz organści, a więc ludzie, którzy nie posiadali ani wytwornego stylu, ani umiejętności rymotwórczych, ale te braki wyrównywali uczuciem, humorem i ich utwory, przeznaczone do najbliższych jasełek, współzawodniczyły ze sobą i bywały coraz piękniejsze, coraz szerzej się rozchodziły i dawały impuls do tworzenia nowych kolęd.

Nie mniejszą stosunkowo różnorodność formy posiadają jasełki. Z kościołów, gdzie wierotnie były urządzone, przeniosły się one do dworów wielkopańskich, następnie do ludu, stając się widowiskami wędrownymi. Ponieważ w wiekach średnich nowy rok liczył się od Bożego Narodzenia, a z początkiem jego związane było wiele obchodów, nieraz datujących się jeszcze z czasów pogańskich, jasełka w swej pierwotnej formie zmieszala się z pozostałościami czasów pogańskich i wytworzyła nowy rodzaj widowisk, związanych zarówno z Bożem Narodzeniem, jak z zakończeniem starego i początkiem nowego roku. W ten sposób powstała z jasełek dzisiejsza szopka, która w różnych okolicach kraju łączy się z przebieganiem za króla Heroda, Żydów, Cyganów, niedźwiedzi, wilki i kozy, co jest pozostałością z czasów pogańskich.



Przebaczenie

Swą łaskę, miłość dawnych lat,
spotykasz znów wśród urąg prochu.
I atrzysz, na nęczę ran i szmat,
w trąjedję wstydu i poszyciu —
— i twój uśmiech nagie zbliadł.

W oczach dostrzegłeś męki ślad,
na twarzy wychudły w pomiewierce,
na białe ręce wzrok twój padł:
I znów ci zadłżał serce,
jak za minionych dawnych lat!

Ze trud zniekształcił smukłość nóg?
Ze już nie wraca taka biała?
O ten nie myślisz: Sądź ją Bóg!
Wiesz tylko tyje, że cierpiała,
że los pomiatł nią i tlakł!

Przebacza. Wzorem wiernych sług
klękasz. W twych dłoniach z wodą misa —
a gąy obmyw sz ślady urąg,
swój przeciętny twarz Atonisa
do zapytonych tuisz nóg...

Miecz.

K.

E. Małaczewski

Wigilja na Murmanie

...Czas płynął, jak wartka rzeka. Ani się obejrzało, jak nadszedł 24-ty grudnia.

W dniu wigilijnym służba w blokhauzie wypadła sierżantowi Hurmie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w oddziale była znana z przewziska „sekcji uprzykrzonych inteligentów”. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pograżali się w cichem rozręczeniu, czynna natura Hurmy wyjawiała się w innym kierunku. Hurma rozumował: — Przychodzi wigilja, to jest wigilja, i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma się odbyć pod begunem tak samo, jak pod Inowrocławiem, jak u polskiego chłopca odbywało się od wieków...

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkało pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono sнопek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarło po barbarzyńsku z nowym o poszycia cudzej strzechy. Na okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza, w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawionych nóżkach... niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczyk lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie trzyzony pas, wstęga nabojów, lśniąca nkiem i mosiądzem.

Po dokonaniu urzędów, Hurma zlustrował rzecz jednym rzutem oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się ręką w czoło uderzył. Poszedł do wioski, polecivszy na odchodem, aby czekało go z wieczera, a on „przed pierwszą gwiazdą” wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczołowicie pod pachą coś zawiniętego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstap się, kiej sierżant idzie! — upomniał malarza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia co do gam fioleto, który wieczorem zakwitł na śniegu długimi strugami, jak grządki astrów barwy lila.

Hurma, przystąpiwszy do stołu, jał odwiązać ową coś. Oczom zaciekawionych żołnierzy ukazał się omszały starością obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rzy” w stylu bizantyjskiego prawosławia. Lecz podwójna bliźna, wymalowana na Jej obliczu, świadczyła o przynależności do innego kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczy — wyjaśnił Hurma. — Gadają, że święty jakis obraz i cuda rozliczne okazywał. Hale! eszszczyby cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska!...

Wtem posterunek, wystawiony nazewnątrz, doniósł, że na niebie zaśniewa już wyczekiwana „pierwsza gwiazda”. Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakręcone białe galetki angielskie. Zebrał dookoła siebie podkomendnych, z biskupem majestatem przeżegnał pszenne okruszki i przełamał się niemi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją.

Spoważnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny czynił zadość tradycji z widocznym wzruszeniem. Poczem zasiedli do stołu, udekorowanego kulomiotem. Spożyto barszcz z uszkami, osobście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, w pół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie peirsi rozpięła smętna wielkość rozręknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła a zmartwychwstała miała. Można było rzec słowami poety, że ich duch, „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe...”

Przy którymś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie wawów w kubku z rumem. Nastroj od alkoholu się rozchłwał. Rozwijały się języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy...

W czasie gawędy dał się słyszeć z nadwornu okrzyk wartownika: „Stój! Kto idzie?” potem chrzęst kroków na śniegu. I do blokhauzu wszedł komendant oddziału.

Wyglądał, jak człowiek zwarjowany, lub w najlepszym razie spity, jak bela. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorzenie; bolał go w skrytości każdy nietakt zwierchników — oficerów. Wprawdzie chodziły między żołnierzami legendy, iż komendant lubi „zalać robaka do poduszki”, lecz że nikt w oddziale nie był abstynentem, więc nikogo ta legenda nie gorszyła. Ale obecna pora, nawet prz święcie, była stanowczo za wczesna, by wyglądać ślotyla dzedelowanym.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gdy jako tako odsapnął, stanął w postawę, która jego podkomendnym była dobrze znana, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówność była słabą stroną komendanta. W przemówieniach zawsze go ponosił temperament gotującego kapitana. Jeśli zaczynał od pochwały, kończył na wymyślniach, od których uszy wędły. Jeżeli wznosił za czyje zdrowie toast, to wieńczył go tyradą o wiecznym odpoczynku. Ten rys charakteru dostał się na języki żołnierskie, i szelmowski krytycyzm względem zwierchników, właściwy polskiemu żołnierzowi, plodził tak bajeczne parodie tych przemówień, że boki zrywano ze śmiechu aż do nowej okazji.

To też malarz od Syreny, generalny twórca mów komendanta, trącił sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zapowiedzią nie bylejak utoczonego okresu. Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał: — At, co to gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość: Polska jest wielka i wolna! Wszystko, co wiemy — igrastwo!

I chwytając żołnierzy pokolei w ramiona, sypał w międzychwilach słowami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porzabrali Niemców w całej Kongresówce. — Armja maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmo ci Szwabów. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwarzuję!

I zwarzował — o ile lży, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szalenstwem. Za przykładem dowódcy zwarzowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ścisano się i całowano bez względu na nie... I z gardzeli, założonych szlochom szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń wrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodia jest posępna, jak psalm nieszporny. Lecz pieśń, oskrzydłona bezdenym zapałem młodych dusz, brzmiała fanarami, jakich w sobie niema nawet płomienna Marsyljanka. A słowa:

Nie, będzie Niemiec pluł nam w twarz!
rozległy się pełnią takiego triumfu, a zarazem groźby niezlomnej, że zdało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego — że tu, w tym blokhauzie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylała nagi, jasny miecz.

W tym śpiewie zbłąkali pod obcy biegun tułaczce wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść. Tą „Rotą” żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo nie zaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgli się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułacz los...

Była to w ich życiu — wigilja najpiękniejsza i najpiękniejszą zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza.



Noc wigilijna dywizji Syberyjskiej

Pociąg brnie przez śnieżyce... gwarzą koła

zrzędy...

Z bronią w rękę czuwamy w półrocznym

wagonie...

Jedziemy w dal — przed siebie — niewiżomo

kędy.

Jeno myśl nasza rwie się ku ojczyściej sironie...

Wspomnienia treść stanowią — tak gorzkiej —

gawędy...

W zwątpieniu czy w modlitwie składają się

dłonie:

Noc wigilijna!.. gdzie są wesole koledy?

Za oknem widać tundrę w białej szacie zimy,

jak stół wigilijny, białym zastaw obrusem...

Miał opłatek, krwią naszą na nim się dzie-

lujemy...

W obcą ziemię okrutnym zagnani przymy-em,

Czy powrócimy do ciebie, kraju nasz rodzimy?

W tajjacy wchły się skarżą przed Zbawcą

Jezusem.

Józef Birkenmayer.

C. Milewska

„Gloria, Gloria in excelsis Deo”

Koniec smutnego Adwentu

Okresem, poprzedzającym przybycie na świat Syna Bożego, jest Adwent. Uroczyste Roraty, odprowadzane w adwencie, wzięły swą nazwę od psalmu, jaki śpiewają w kościele: Rorate coeli. „Spuście rosę niebiosów”.

Wprowadzone one zostały do Polski przez Bolesława Wstydlwego, na uproszenie Boga, aby uchronił nas od najazdu Tatarów.

W pierwszą niedzielę Adwentu odprowadzane było nabożeństwo z wielką uroczystością. Stawiano na Oltarzu siedmioramienny świecznik bez świec. Zbliżał się król, z płonąca gromnicą, osadzał ją w świeczniku i klękając mówił: „Jestem gotów na Sąd Boży”, potem to czynili przedstawiciele wszystkich stanów, w Polsce, a więc biskup, senator, rycerz, ziemianin, mieszczanin, aż do kmiotka.

U stóp Oltarza spotykali się wszyscy, przy pomnażając sobie wzajemnie obowiązek czuwania nad swoim własnym sumieniem.

Podczas Adwentu obowiązywał post w środę, piątek i sobotę — i ściśle był przestrzegany.

W ten sposób przygotowywano się do dnia Narodzin Jego — co miał zmyć plamę grzechu pierworodnego — do Narodzin Jezusa.

Przedziera święto — dzień wigilijny, dzień oczekiwany przez wszystkich, bez różnicy wieku i pochodzenia, dzień wielkiego zbratania i przebaczenia. Uczta wigilijna gromadziła wszystkich przy jednym stole; w dawnej Polsce od najniższego służki począwszy — wszyscy siadali z państwem razem. Zaścianał stół sianem na pamiętkę, że Chrystus w żłobku się narodził, nakrywano obrusem, pod stół rzucano wiązkę siana, we wszystkich czterech rogach stawiano snopy zboża.

Siano, wraz z czerwonym opłatkiem, który zawsze organista nie zapominał dołączyć, gdy roznosił podczas Adwentu, dawano bydłom w oborze i stajni.

Wszak Bóg w stajence się urodził — a zwierzęta pierwsze Mu hołd złożyły.

Przed najciemniejszym przy wigilijnym stole domownicy dzielą się opłatkiem, składając sobie wzajemnie życzenia. Przy wigilijnym stole zawsze jedno miejsce było puste — w oczekiwaniu na gościa, który mógł się spóźnić... I często b. często — to opuszczone miejsce zajmował tajemniczo podróżny, przybywający z dalekich stron... który w końcu okazał się synem... ojcem... bratem, uważanym za zaginionego.

Do dnia wigilijnego przywiązywanych jest wiele przesądów. Nie wolno w dniu tym pożyczyc pieniędzy, bo długi trapiłyby przez cały rok, nie wolno dla tego powodu kłócić się. Przy stole powinna zasiadać parzysta liczba osób. Myśliwy jeżeli chce zapewnić sobie cały rok polowanie, powinien w dniu tym coś ustrzelic. Z wielu też szczegółów, wyciąga się różne przepowiednie. I tak: ponieważ w dawniejszych czasach uczta wigilijna musiała się składać z 12 dań, ze wszystkich jarzyn i ziarn uprawianych w gospodarstwie, pan domu, pod każdy talerz podkładał kawałek opłatka: jeżeli przyłgał opłatek do talerza — na którym tę czy inną potrawę jedzono, znak to był nieomylny —

że jarzyna czy zboże, z którego potrawa była zrobiona — napewno się urodzi. Również rozkrawano sześć cebul na połówki, wyjmowano z nich środkowe warstwy — i w miseczki w ten sposób utworzone — nasypywano soli, jeżeli sól się zwilżała, była to przepowiednia, że dany miesiąc będzie wilgotny.

Dziewczęta w dzień ten wróżyły różne czyny — a więc po wigilji wybiegały na drogi i głośno hukaly, z której strony głos jej echo przynosiło, nieomylny znak, że z tej przybędzie ukochany. Gwieździste niebo w wieczór wigilijny — wskazywało, iż będzie urodzaj na jaja, — a zachmurzone — na mleko. — Po wigilji, kto żyw wyruszył na pasterkę, którą zwykle o północy odprowadzano. Ciągnęły więc tłumy pieszce, sunęły pojazdy zaprzężone w pyszne konie, brzęczały dzwonki u skromnych chłopskich sanek — ale z chwilą, gdy znalezione się w kościele, zacierali się różnice, i wszyscy spolem śpiewali pieśni kolendowe i składali hołd Narodzonemu Dzieciatku.

Jedną z najpierwszych kolend u nas było „W żłobie leży”, śpiewane już na dworze Władysława IV. Znane również i śpiewane były pieśni często wesole lub rubaszne, a najczęściej bardzo naiwne, zwane „Kantyczkami”. — Z Kantyczek śpiewanych podczas Świąt Bożego Narodzenia powstała późniejsza „Szopka”. Urządzano bowiem, miniaturowe stajenki, w których przedstawiona była cała Święta Rodzina — i rozmaite figurki, przedstawiające pasterzy, Trzech Króli i lud wieśniaczy.

W początkach miniaturowe te Szopki urządzane były w bocznej nawie kościoła. Sławną była w swoim czasie jasełka „Królowej Kingi”, w której figurki były pięknie wyrzeźbione i przybrane w kosztowne szaty, a nawet wykonywały ruchy na sprężynkach.

Z czasem — do „jasełek” dodano kuciekki świeckie, nie mające nic wspólnego z Narodzeniem Chrystusa, a służące do zabawiania widzów, to było właśnie początkiem Szopki. Szopka skupiła w sobie pierwociny wszystkich sztuk pięknych. A więc: budownictwo, bo urządzający musieli ją budować z drzewa, z tektury i kolorowych papierów; rzeźbę — przez wykonanie figurek zwanych kuciekkami, muzykę... poezję, a przedewszystkiem Szopka jest zaczątkiem sztuki dramatycznej. Początek Szopki u nas znamy już za czasów Augusta II, przez szereg lat noszenie, pokazywanie Szopek było przywilejem Żaków, t. j. ubogiej młodzieży szkolnej. Z czasem Szopki przeszły na deski sceniczne i dziś już mamy przesłuchane przedstawienia, jak „Betlejem” Rydla, „Szopka” Konopnickiej, grane przez artystów — na prawdziwej scenie.

Nie każdy jednak może widzieć przedstawienia na scenie, ale każdy pamięta z jaką radością biło mu serce, gdy we drzwiach mieszkania ukazywali się mali chłopcy — niosąc pudełko z gwiazdą u góry — i kurtyną z czerwonej... powłóczki.

„Gloria! Gloria!” śpiewały cienkie dyszanty — a na długich kijkach skakały figurynki... Małgorzatki, co to masło w święta robi, pachciarza, co to ma

Kluskki z mydłem

Chleb z powidłem...

Heród srogi i okrutny ukazuje się w złotej koronie — i zjawia się śmierec:

Królu Herodzie za twe zbytki

Pójdź do piekła boś ty brzydki.

Czarny diabeł chwytą na rogi króla Heroda

— a serca dzieci drżą ze wzruszenia...

Aż ukazuje się dziadek i woła:

A za szopkę za podziękę

Dajcie ze dwa dukaty

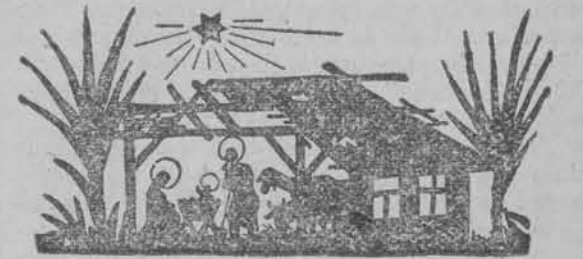
Trzaczam workiem daremno,

Wciąż w nim pusto i ciemno...

Oj maluško... maluško...

Wrzucano dziadkowi do torby owe dukaty, chłopcy znikali za drzwiami, a dziatwa uśpiała pod wrażeniem czarnego diabła — śmierci z kosą i króla Heroda.

Choinek tak dziś rozpowszechnionych nie znano w dawnej Polsce, dostały się one dopiero od Niemców do nas. Ale podarki dano sobie wzajemnie — nawet w najdawniejszych czasach...



A gdy zabłyśły pierwsze gwiazdy...

Uroczyste święto rodzinne

Wszędzie na ziemiach polskich wigilia Bożego Narodzenia od wieków miała ze wszystkich świąt roku najwięcej cech uroczystości rodzinnej, a wieczerza wigilijna swój różnorodny ceremoniał, który wytworzyła z pokolenia w pokolenie przechodząca wiara w osobliwość tej nocy „Kiedy się Chrystus narodził”.

Wiele zwyczajów wigilijnych do dziś się zachowało wśród ludu wiejskiego w różnych okolicach kraju.

Gdy nadchodzi czas siadania do wieczerzy — przedziwnie uroczysty nastój wytwarza się wśród domowników. Gospodarz pilnuje, aby się wszystko działo według tradycji, a i młodzi, zwykle przekorni, po swojemu patrzący na świat, też przenikają się mimowolnym szacunkiem dla nakazów przeszłości. Gospodyni krząta się dokoła zastawy na stole wigilijnym. Nielada kłopot miewa, jeśli nieparzysta jest liczba domowników. Zły to omen, jeśli do wieczerzy nieparzysta liczba osób zasiądzie, znak, że w ciągu roku ktoś z tej liczby umrze. Więc jeśli nieparzysta liczba domowników, na gwałt kogoś obcego zaprasza się do wieczerzy, a nielata to sprawa, bo każdy choćby najskromniejszej, ale u siebie chce spędzić wieczór wigilijny. Nieraz bywa znowu inny kłopot: domowników jest „w sam raz”, a tu jakiś niespodziewany gość, a zwyczaj nakazuje, aby każdego w ten wieczór przyjąć — choćby to był śmiertelny wróg, posadzić do wieczerzy, przełamać się z nim opłatkiem i życzyć „dosiego roku”.

Zastawa stołu wigilijnego, na który pod obrus podściela się siano, składa się — zależnie od zamocności domu — z pięciu do jedenastu dań. Potrawy wigilijne w różnych okolicach kraju bywają różne: śledź, zupa grzybowa, ryby, kluski z makiem, kompot ze śliwek, a z trunków gorzałka czysta, albo z miodem. Na Kresach Wschodnich nieodłączną potrawką wigilijną jest „kutja” z pęczaku, lub perłowej kaszy z miodem, pozatem zupa, kisiel, ryż, łamaniec z miodem.

W niektórych okolicach przy stole wigilijnym zostawiane jest wolne miejsce dla — duchów zmarłych członków rodziny. Huculi, naprz., siadając do wieczerzy wigilijnej uroczą się wzywają „boże i grzeszne dusze na wieczerze, aby na tamtym świecie tak wieczerzali one, jak my tutaj”, a dla gości z zaświatów rozrzucają po rogach izby bób, w oknach zaś ustawiają po trochu każdej potrawy. Białorusini na stole obok swoich talerzy kładą dla duchów jedzenie i z każdego kieliszka odlewają trochę na obrus.

Każdej potrawy z wieczerzy wigilijnej trzeba przynajmniej spróbować, bo zwyczaj głosi, że ilu kto potraw przy wieczerzy nie spróbuje, tyle go w przyszłym roku radości i szczęścia ominie. Wolają też gospodarze podczas wieczerzy: „płaszeta, wróbleta, chodźcie z nami obiadować!”, a w krakowskim wolają nawet wilka: „Wilcosku, wilcosku, siadź z nami dziś do obiadu”, albo

też, rzucając groch o ścianę: „wilku, wilku, chodź do grochu, jak nie przyjdiesz, to nie przychodź dosiego roku”.

W niektórych okolicach wróży się podczas wieczerzy i zamawia szczęście i dostatek na przyszły rok. Najbardziej rozpowszechnionym w całej Polsce jest zwyczaj rzucańca przy jedzeniu grochem w górę ze słowami: „aby dobył się tak wysoko, jak ten groch podrzucający”. Młodzi wróżą sobie o szczęściu i długości życia w bardzo prosty sposób: wyciągają z pod obrusa siano, im utuższe źdźbło, tem utuższe życie i więcej szczęścia. Nieraz pod obrus kładzione są upominki gwiazdkowe, albo też różne symboliczne przedmioty, wróżące zamężcie, lub ożenek, spadek, powodzenie w gospodarstwie, suty posag itp.

Po wieczerzy następuje choinka i śpiewanie koled, aż póki czas iść na Pasterkę.

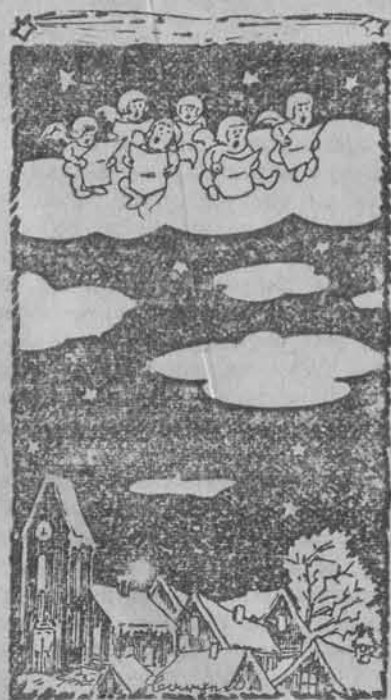
Gospodyni tego wieczoru porządków nie robią, zestawiają tylko naczynie ze stołu, albo jak w okolicach Wieliczki wszystko nawet zostawiają na stole „bo Pan Jezus będzie spał w nocy na stole”, w innych okolicach łyżki i resztki jedzenia leżą aż do na-

stępnego dnia na stole, „dla aniołów i dusz zmarłych, które tej nocy przychodzą się pokrzepić”. We Wschodniej Małopolsce w czte rech kątach izby wylewa się dla nich resztki barszczu wigilijnego, gdzieindziej znowu kładzie się na stole żytni chleb, przykryty opłatkiem i owinięty w białą chusteczkę.

Niemniej niż zwykle obrządza się bydło i zwierzęta domowe; a to na pamiątkę tego, że zwierzęta były przy Dzieciątku w stajence. Siano, które podścielano pod obrus na stole wigilijnym, rozdziela się między bydło, żeby się dobrze chowało. Ze snopków zboża, które stało przy stole wigilijnym wykrusza się ziarno i wysypuje do drobiu, a ze słomy kręci się powrośla, któremi przewiązuje się drzewa owocowe, aby dobrze obrodziły.

Choinkę, przybraną piernikami, owocami, świecidelkami, stawia się na podłodze, umocowując w krzyżaku, albo też zawieszają się u sufitu, co ma przypominać rajską jabłoń, taka choinka nazywa się w krakowskim sadem, na Śląsku natomiast „niczką”, gdzieindziej znowu wiechą. Dzięki tym zwyczajom i żywej tradycji wspomnienia wieczerzy wigilijnej pozostają w pamięci na długo.

W.



Niezaimary slygma: głębinu ducha

Słowo w poezji i dramacie

Poezja rozumienia w najogólniejszym, a zarazem najistotniejszym znaczeniu, jest pierwiastkiem organizującym, kształcącym w nas w żywą osobność rozpięchłe doświadczenia zmysłów, uczuć, woli, świadomości, sumienia. Czyni to zawsze podług jednego prawa: prawa nienazwanego przed tem nim się same objawiają typów indywidualności ludzkiej, które nazywamy genuszami. Właśnie tyle o osobowości swej ludzkość wie za każdym razem, ile jej objawia nienazwani, od których objawionego w dziele twórczym imienia biorą początek style, kierunki sztuki, typy sumienia.

Jeżeli mówimy o poszczególnych rodzajach poezji, poezji przyrody lub poezji czynu, poezji w sztuce lub w literaturze, to wiastwie za każdym razem, w każdej takiej dziedzinie mamy na względzie te jej siły czy zjawiska, które mają w sobie właśnie ową szczególną władzę kształtowania naszej ludzkiej osobowości.

Otóż poezja, wyrażająca się w twórczym słowie, ma, jak wiemy, swoje specyficzne formy ujawniania się: jako symboli owo słowo — organizm, słowo — istota, jako rytm i rym czyli mowa wiązana, przenikająca tętnem swym zarówno wiersz, jak prozę — jako wreszcie na rozkaz tych dwóch środków zasadniczych, bo najgłębszy i najwzrostekowej wyrażających kształtującą moc Sio-

wa i wszystkie inne sposoby, niejako służebne tym pierwszym, zastosowane do dziedziny założenia, materiału, typu twórczości.

Trzy wielkie odnogi twórczości, liryka, dramat, epos, podlegają prawu poezji — mając również jeszcze swe „poecie” poszczególnie, wynikające ze szczególniej szej władzy nad nami uczuć a woli, czyli dokonanego. Dlatego to mówiąc o rządach poezji na scenie w każdej z tych trzech dziedzin trzeba pamiętać o wielkim ogólnym porwyw twórczym, który tem manem nazywamy i o wiastwowych prawach danej kategorii twórczości, którą mamy za każdym razem na względzie.

Rozpalając więc dramat nasz, będziemy mieli przed oczyma nieustannie jakby dwa nurty tego samego prądu: z jednej strony przejawy owej ogólnej, kształtującej, siły poezji, z drugiej — dążność, że się tak wyrażymy samego dramatu do zorganizowania się podług praw własnych.

Pierwsza przejawia się w owej śpiewającej mądrości symbolu — powstało szerokie „poetyckich”; druga wyraża się w docieraniu do coraz głębiej, wiastwie, rozumianego wątku samej twórczości dramatycznej, jako takiej.

Bo wazakże, aż scena sama jest pewnego rodzaju symbolem — jak dramat sam —

misseriów staré woli ludzkiej na arenie jej samowiedzy, w szrankach kształtującej się nowej jej formy, lub w ślepych przeawach sił wrodzonych, koniecznych, jak fatum.

Otóż pęd poetycki powszechny niejako narzucił dramatom dążność do symbolu wogólnie formy uznanej konwencjonalnie za najbardziej właśnie poetyckiej, więc wiersz, jako język — legend, bań, zmyślenie, jako uobioną dylektykę, dramat zaś jest, jakby organizować te wpływy podług swej własnej dynamiki, podług własnego „symbolu” — areaw woli, podług własnego „rytmu” — rytmu staré wewnętrznego.

Sprawa to zawiła bezwątpienia, lecz piękna i wprowadzająca nas w głąb samą twórczość mistrzów i nieskazitelnego zagadnienia „formy” w związku z „treścią” życia duchowego.

Ze stanowiska ogólnego porwywu poetyckiego podnieść wypada pewne objawy, które ze stanowiska poezji samego dramatu wiedzy dopiero nabiorą wartość, gdy pierwotnie prawo jego dziedziny uszanuje.

Bo formy literackie są jak muszle morskie: po każdej poznać, jaki ją twór zamieszkał, a wszystkie mają w sobie niezaimary slygma: mniejsze, lub większe pięty buj ducha, w którego odpływach i przyływach urastały.

Na lwowskim przedmieściu

Boże Narodzenie w czasie walk polsko-ukraińskich

Było to w czasie najgorętszych walk o posiadanie Lwowa.

Najczęściej ostrzeliwano przedmieścia w stronie Zamarstynowa i Persenkówki, te drugie dlatego, że leżały w okolicy elektrowni miejskiej, którą Ukraińcy chcieli za wszelką cenę unieruchomić, i że pod samym Placem Powystawowym, oraz na Jacka Górze stało kilka mizernych naszych armatek, które „karaimy” szukali swymi pociskami.

Szukanie jednak było dosyć nieudolne, a granaty ukraińskie miały tę własność, że przeważnie nie wybuchały. Więc fruwały sobie „pakunki” jak je nazwano i najczęściej wpadały w głęboki jar na t. zw. „Zoljówce”, w górnej części ul. św. Zofji, graniczącej niemal z placem Powystawowym. Szkód jednak nijakich w tej okolicy nie wyrządzały, więc ludziska przyzwyczaili się powoli do huków strzałów i do świstu przelatujących pocisków i wnet nauczyli się odróżniać ich kalibry i kierunek, skąd przychodziły, a nawet odległość, z jakiej były wyrzuczone.

Tak przeszedł koniec listopada i pół grudnia i przedmieście zamieszkałe po części przez ludność prawie wiejską, a po części przez inteligencję urzędniczą, zapadło powoli w sen zimowy. Jakoś w połowie grudnia spadły obfite śniegi i tęgi mroź ścisnął

poła. Drzewa trzeszczały po nocach, z ogromnych świerków spadała, strącana powiewem wiatru, okiść, wywołując głuchy toskot, jakby uderzenie kijem o pierzynę. W starych klonach, otaczających kościółek św. Zofji, nawoływały się sowy, co ludzie uważali za złą wróżbę, a po obejściach gospodarstwach wylęły żałośne psy, czując w powietrzu krew i dym palących się daleko stodoł ze zbiorami i zagrod.

Zbliżało się Boże Narodzenie, święto pokoju i radości, które tym razem trzeba było spędzić w smutku i niepewnym oczekiwaniu tego, co przyniesie jutro. W sam dzień wigilijny mroź wzmożił się jeszcze, tak, że stanął nawet nie zamierzający nigdy strumyk, płynący z Persenkówki, a wysokim brzegu tego strumienia, stał obszarowy dom, zamieszkały przez liczną rodzinę urzędnika miejskiego, p. X. Cała rodzina, dla oszczędności opału skupiła się w jednym pokoju i po mniej niż skromnej wieczerzy „wigilijnej”, złożonej z kartoflanki i kilku śledzi, udała się na spoczynek. Po kilkunastu strzałach armatnich, które, jak co wieczora, rozdarły powietrze, cisza głęboka zaległa całą okolicę.

Nagle rozległ się lekki stuk, potem jeszcze jeden nieco bliżej, a potem już coraz gęściej, jakby ktoś groch na klepisku prze-

sypywał. Dobrze znany grzechot karabinów i równomierny stuk maszynek, tuż niedaleko poderwał p. X. i jego żonę. Tylko dzieci spały spokojnie, śniąc o choince, której pani X. w roku tym zabrakło. Pani X. wyszła do sieni i ostrożnie uchyliła drzwi, wodzące na dwór. Coś stuknęło tuż obok niej w ścianę. W ogrodzie, położonym na górze, słychać było wyraźnie okrzyki i jakieś sygnały.

Bija się w naszym ogrodzie, — oznajmiła, — wróciwszy do pokoju. O spaniu nie było mowy. Postanowiono przeczekać koniec strzelaniny i dowiedzieć się o ile możliwości o jej wyniku. Grzechot stawał się coraz gęstszy i coraz bardziej zbliżał się w stronę domu.

Wtem zapukano do szklanych drzwi od warandy i postać jakaś ukazała się za nimi, jak widmo. O otwarciu tych drzwi nie było mowy, były bowiem do połowy zawiane śniegiem. Na mięgi zatem dano znak żołnierzowi, żeby okrążył dom i wszedł po drugiej stronie, od sieni. Wyszedł na jego spotkanie p. X. i za chwilę obaj ukazali się w drzwiach pokoju.

Zrazu niewiadomo było nawet, czy przybysz jest „swoji”, czy też „wrog”. Tak Ukraińcy bowiem jak i Polacy ubrani byli przeważnie w takie same austriackie mundury. Okazało się jednak, że był to jeden z naszych żołnierzy, ranny lekko w rękę. Prosił o podanie mu wody, ale nie dał sobie nawet opatrzyć rany. Wrócił natychmiast do swoich, którzy znajdowali się w trudnej sytuacji. Atak ukraiński wyparł ich z pla-

cówki na Persenkówce, więc cofali się aż do pierwszych drzew, za którymi mogli znaleźć jaką taką osłonę. Tymi drzewami był właśnie ogród pp. X.

Owó żołnierz nie był jedynym owej nocy. Przychodzili za nimi inni, niektórzy ranni, niektórzy tylko wyczerpani do ostateczności. W końcu nie stało już ani herbaty ani wody i trzeba było się wybrać po nią na drugą stronę strumienia, gdzie było źródło.

Trudna to była wyprawa. Przez most nad strumieniem, potem na obejście sąsiada, i w dół po stromej i śliskiej pochyłości, z dzbankiem w ręce, schylając się co chwila, aby uniknąć kul zbłąkanych, pani X. dotarła jednak szczęśliwie do źródła i przebyła równie szczęśliwie trudniejszą jeszcze drogę powrotną z pełnym dzbanem. Napojono jeszcze kilku spragnionych.

Ale już strzelanina zaczynała przycichać, wrzawa bitewna oddalała się coraz bardziej i wreszcie ustała zupełnie.

Na dworze padał drobny śnieg, którym pokrywał wszystko „wieżym, białym całunem zacierając ślady krwi i śmierci.

Gdy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia rano pp. X. wyszli do ogrodu, ujrzeni tylko jedną, białą płaszczyznę, która spowiła całą ziemię dokoła i była jakby symbolem spokoju i miłości.

A jednak, kilka godzin temu, w tem samym miejscu, obecnie tak cichem i uroczem zabijali się ludzie, bracia rodzeni, synowie jednej ziemi.

H. B.



→ NASZYM MILUSIŃSKIM NA GWIAZDKĘ ←

Pierwsza choinka na świecie

Jak stara jodła zaopiekowała się dwojgiem dzieci

Niegdyś... przed wielu laty zdarzyło się, iż dwoje sierot wędrowało po świecie.

Biedne to było, bezdomne, a takie samotne, jak ta grusza, na miedzy wśród pól rosnąca, a takie opuszczone, jak liść, jesiennym wichrem w powietrzu miotany.

Ani przytulić się do kogo, ani popieścić, ani pożalić na swą niedolę... Ot, zwyczajne sieroty!

Ludzie dobrzy, boć nie brak ich przecie, przygarniali czasami biedaków, nakarmili, a i odziali nawet. Czasami też jaka matka liłościwa przyglądziła zwichrzone główki, umyła kurczem pokryte twarzyczki.

Lecz te chwile jaśniejsze zdarzały się rzadko, i krótkie było ich trwanie.

Chodziły więc sieroty po świecie, chodziły od miast do wiosek, od wiosek do chat stojących na ustroniu, tu zatrzymano je dłużej, tam krócej, jak się ludziom podobało.

Aż raz w takiej wędrowce zaskoczyła je zima i święta Bożego Narodzenia.

W samą wigilię idą sieroty wąską drożyną przez pola, grubo śniegiem usłane, śpieszą ku lasowi, bo za lasem wioska i liłościwi ludzie, którzy dla sierot dom swój otworzą, i za stołem wigilijnym posadzą.

Śpieszą sieroty, jak mogą. Zsinala rączyny zasunęły w wytarte rękawy sukmanek i krzepią się wzajemnie i otuchy sobie dodają.

Ale coś młodszy siedmiolatek ociągać się poczyną i zostawać w tyle. Małe nóżki coraz leniwiej wysuwają się z głębokiego śniegu.

Widzi to brat starszy, lecz choć strwożony, udaje zucha i zapytuje wesoło:

— Prawda, Waluś, że ci nie zimno?... Co? Uhm... uhm... — odmrunknął młodszy niewyraźnie.

— Bo to widzisz, trzeba się tylko ot tak wziąć, ścisnąć w sobie i głowę podnieść do góry, a mróz ani przystępu mieć nie będzie.

I czyni i do słowa łącząc, otula chłopiec połą swęj odzieży zziębłego brata, obejmując mocno ramieniem.

A wciąż prawi:

— Widzisz, Waluś, jak nam dobrze teraz! Już ci pewnie ciepło. Cóż nieprawda? Zbieraj tylko nogi — tyś zuch co się zowie! Wstyd byłby wielki, gdybym ja cię przegołił. Zresztą już niedługo tej drogi — wnet do jakiego domu dojdziemy.

Walusowi tymczasem nic a nic te wszystkie zachęty nie pomagają na zmęczenie. Coraz mocniej opiera się chłopiec na ramieniu brata, coraz mocniej prosi:

— Odpocznijmy choć troszeczkę.

— A naturalnie — upewnia starszy. — Odpocznijmy zaraz, za chwilę.

Przedłuża się chwilka, przedłuża... a tu lęk coraz większy ogarnia serca dzieci, taki lęk, jakiego jeszcze nigdy nie zaznały.

Aż i weszły do lasu. Śliczny on, już wystrojony godowo, cały w soplach lodu i w puchach śniegowych.

Tylko patrzeć nań i dziwić się i z dziwu oczy szeroko otwierać!

Trochę wprawdzie w lesie ciemno i straszno, nawet jakby straszniej, niż na tem polu, które dzieci przebyły przed chwilą, lecz może zdaje im się tylko!

— Tak, z pewnością zdaje się — myśli Janek.

Owa trwoga, gniotąca im serce, owo zmęczenie, które próżno zwalkać usiłowali, to wszystko jest tylko złudzeniem!

Gdzieżby oni, tacy wprawni w tułaczkę, oni, tacy bólowi i nędzy zwyczajni, tyle razy od mrozu wskroś przeziębli, gdzieżby oni zmęczyć się mogli!

To tylko tak im się zdaje... Ta chwila nie jest przecie cięższą od innych, które minęły.

Więc też chociaż idą coraz wolniej i opieszale, Janek nie przestaje udawać zucha. Nawet gwizdać zaczyna.

Aż tu młodszy chłopiec osunął się na ziemię i szepce:

— Już nie mogę... Już ani kroku postąpić nie mogę...

Pod Jankiem zadrżały nogi.

— To nic — rzecze — odpocznijmy sobie, a potem ruszymy dalej. Zobaczysz, jeszcze przed nocą dojdziemy do wioski. Zdaje mi się nawet, że jakieś światło między drzewami błyszczący.

Oj, nie błyszczowało światło w ciemnym boru, tylko wysoko nad głowami dzieci zapalała się maleńka gwiazdeczka. Pierwsza gwiazda wigilijna!

Usiadły dzieci pod drzewem, młodszy cicho jęczy, a starszy okrywa go, tuli i wciąż śpiewać próbuje.

Przeszkadzają mu wprawdzie trochę lzy, z oczu się lejące, przeszkadza mu kurcz jakiś dziwny, co za gardło chwyta, ale chłopiec polyka te lzy słone, a niby nóż ostre, i nie przerywa piosenki, podobnej do łkaniał!

Siedzą dzieci, nad niemi młoda jodółka wyciąga ośnieżone gałęzie i dziwuje się tym kruszynom nędznym, temu biedactwu, które do stóp jej przypadłszy, zali się i płacze.

Że to był widok nieznanym jeszcze w lesie, więc jodółka spytała swej matki:

— Co to znaczy? Któż to jest taki?

A matka odparła:

— Wszak słyszysz. Ktoś, co cierpi.

— Cierpi... A dlaczego?

— Bo mu źle na świecie.

Nie zrozumiała tego jodółka. Jej tak dobrze było dobrze przy boku matki, wśród rodzeństwa grona, tak ciepło pod śniegowymi puchami i blaskami słońca, tak spokojnie w nocie miesięczne...

Więc pomyślała:

— Czyż to na świecie komu źle być może?

W odpowiedzi jęk głośniejszy pobiegł ku drzewu, tak głośny, że nawet starą jodółkę wyrwał z zadumy.

Spojrzała na dół.

— To dzieci. Oj biedne, biedne sieroty! Przyszło to do nas, przytuliło się, odpocznij i opieki szuka. Więc tę opiekę dać im trzeba, trzeba ugościć i nakarmić!

Nowina o małych przybyszach wnet z szumem przeleciała po wierzchołkach jodeł z jednego skraju na drugi.

Wszyscy pragnęli ugościć sieroty! — lecz w jaki sposób, tego nikt wskazać nie umiał.

— Gdyby tak można utoczyć dla nich naszej krwi serdecznej, tych soków odżywczych, któremi ziemia-matka nas karmi, nie zawahałybyśmy się ani na chwilę — mówiły do siebie drzewa. — Ale to niepodobna... Ha, coż robić! Damy im zeszlących owoców, i orzeszków, i miodu, — wszystkiego, czem las bogaty.

Wnet więc ofiary spać się poczęły.

Szybkonogie wiewiórki pierwsze swą dań przyniosły. Potem borówki skurczone od mrozu, wyskoczyły z pod przykrywającego je igliwia i śniegu, i tysiącem drobniutkich koralików na gałązkach jodełki zawisły.

Wielki krzak głogu oddał wszystkie swe perły purpurowe, a tarnina ciemnym fioletem zabarwione jagody.

Szczerniały od wiatru, słońcem wysuszone gruszki, jabłka pomarszczone, orzechy włoskie, buczyna, wszystko to znalazło się wkrótce na drzewku. Niczego tam nie brakło, nawet słodkiego miodu w kobiałkach z brązowej kory. Pszczoły leśne chętnie oddały swe zimowe zapasy.

— Choćby nam przyszło i głodu przymrzeć później, nie pożałujemy słodczy dla tych, którzy dotąd gorycz tylko znali.

Uczta była wreszcie gotowa.

Mała jodółka, wzruszona rolą gospodyni, jaką odgrywała pierwszą raz w życiu, stała drżąca, gnąc ku ziemi gałęzie, obciążone skarbami lasu.

Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie, nawet wówczas, gdy ją rozgrzewały wiosennego słońca promienie i pieściły wiatru podmuchy. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwą.

Do tej pory żyła dla siebie tylko i o sobie myślała, teraz za jej pośrednictwem spłynąć miała na biedne, opuszczone sieroty radość niespodziewana.

Więc też od tego szczęścia, od tego zaru radości, który w niej płonął, drobne gwiazdki śnieżne, szaty jodełki kryjące, topnieć poczęły i spływały na dół, zastygając w kryształ lodowe.

— Śliczna... śliczna jesteś, siostrzyczko — wołano zewsząd,

— Nad tę ostatnią ozdobę, nad te lzy radości, w brylanty zamienione, już nic niema piękniejszego! Już cię więcej przystroić nie można... Obudźmy teraz dzieci!

— Zaraz, zaraz! — zaszmerło coś w górze.

I z ciemnego błękitu niebios poczęły zwolna jedna po drugiej odrywać się gwiazdy i spadać ku ziemi i na gałęziach jodełki wśród głogu koraliki, wśród złota jabłek osiadać.

A od księżycy, który też ukazał się na niebie, padał deszcz promieni, i srebrzył orzechów łańcuchy, i zapalał iskry w soplach lodowych.

Drzewko płonęło niby zorze, blaski od niego biegły przez gałęzi gestwinę, przez krzaki ciemne, przez las cały, biegły ku mieszkaniom ludzi, którzy wychodzili przed domy swoje i wołali, ręce ku niebu podnosząc:

— Zorze! Cudne zorze nam świecą!

A gdy już wszystkie przygotowania były skończone, wówczas, na samym szczycie godowego drzewka, zabłysła światłość najpiękniejsza, najjaśniejsza ze wszystkich.

Biła ona z szat, skrzydeł i z całej postaci anioła, który hejnałem rozbudził dzieci sieroty i na ucztę wigilijną zaprosił,

.....

I któż na to odpowie... kto zagadkę rozjaśni?

Może taki był początek pierwszej wigilijnej choinki na ziemi...



„Wzgardzony — okryty chwałą”

W nędznej szopce betleemskiej

Dżdżysty i chłodny wieczór spływał na ziemię. Wichura szalała po świecie, zła i rozpaczająca pełna zarazem, niosąca zniszczenie i płaczącą nad nią. W taki wieczór najlepiej temu, kto zdoła usnąć i o życiu zapomnieć!

Więc też szybko gasły okna w domostwach betleemskich i ciemność coraz gorsza zalegała ulice, place i zaułki miasteczka. W jednej tylko chacie, na samym jego kraju, świeciło się jeszcze. Ale łuczywo dogasało z wolna, dogasał i ogień na nalepie.

Nagle zapukano do drzwi. Gospodarz, trudem dziennym znużony, niechętnie podniósł się z ławy.

— Kto tam?

— Podróżni z Nazaretu. Dzień cały idziemy, znużeniśmy wielce. Nikt nam nie chce udzielić schronienia!

Złym nie był człowiek, zamieszkujący oną chatę. Ale serce miał letnie jeno, nie umiejące ludzi po bratersku miłować. Przytem w domostwie ciasno było i głodno. Więc też szara troska jąła mu szeptać:

— Gdy ich przyjmiesz, to i strawę podzielić się wypadnie! — A znużenie, łamiące mu ramiona po całodziennej pracy, dodawało zcicha: — I gdzież ich do snu ułożyć? Chyba, że ty sam legniesz na twardej ławie!

Ale w kącie serca tała się odrobina litości, więc też wstał od stoła, do drzwi się zbliżył i nie otwierając ich, rzucił krótko:

— U mnie ni miejsca, ni wygodę. Jeśli jednak dalej iść nie chcecie, to spoczniecie w szopce, obok chaty. Umkną się nieco bydłatka, i ciepło a zaciśnie wam będzie!

— Bóg ci zapłaci! — odrzekł mu słodki głos niewieści.

Gdy tę odpowiedź usłyszał, coś, niby wyrzut sumienia, sercem jego targnęło. Lecz się w ten wyrzut nie chciał wsłuchiwać. Szybko ogień zagasił, by blask jego nowych podróżnych do chaty mu nie nęcił, i legł na spoczynek.

Wędrowcy weszli do szopki. Obrócił ku nim głowę wół pracowity i pokorny osiołek

wypatrując w ciemnościach przybyszów do bremlu oczyma. Poczem umknęły się, czyniąc im miejsce przy źłobie, a litościwie owieczki otoczyły ich wiankiem, jakby chcąc chronić przed chłodem nocy. Tylko koń stał obojętnie na boku, łakomie przegrzając siano.

Rychło potem blask jasny, jarzący prawie, obudził gospodarza. Zerwał się i na podwórzu wypadł, spoglądając ku niebu. Nad szopką stała gwiazda przedziwnej światłości, wielka, nigdy dotąd nie widziana. Niebiosą dokola niej pogodnie były i ukojone po burzy. Tylko na samym kraju widnokregu klebiły się jeszcze zwichrzone chmury, jakby uykające w popłochu.

Drzwi szopki rozwarł. Przystanął zdumiony u progu. W głębi na słomie kłębała niewiasta piękna, niby świtanie, tuląc do piersi dzieciątko drobne, jak ptaszyna polna, jasne, jak migotliwy promyk słoneczny. Na ustach miała ona uśmiech radosny, choć lzy rzęsiście płynęły po jej licu. Obok uniżał się na kolanach starzec siwowłosy, kłębały wół z osiołkiem i owce o śnieżystym runie.

Ból dojmujący targnął sercem człowieka, co wciąż stał u progu. Pojął on, że szedł ku niemu dobry uczynek, na złotych skrzydłach wielkie szczęście, jako nagrodę, za sobą niosący. A on mu drzwi nie otworzył, nie wpuścił go do chaty.

Więc padł na kolana, a czołem do drobnych stóp Dzieciątka przywarłszy, złożył mu najpierwszą ofiarę żalu ludzkiego i luzkiej skruchy.

Spowiwszy Dziecinę w biały rąbek, zdjęty z głowy, by ją przed chłodem nocy uchronić, złożyła Marja maleńkiego Jezusa w jasłach i rzekła słodko:

— Bydłatka moje, ogrzejcie mi Synaczka milego.

I wnet wół lekko, ostrożnie podsunął wiązeczkę siana pod drobną główkę, a potem, nachyliwszy się wraz z osiołkiem, począł oddechem ogrzewać ciało Dziecięcia. Widząc to — koń, stojący u kraju żłoba, chciwie zgarnął resztkę siana ku sobie, nawet go nieco z zagłówek Jezusowego wykskubując, i jął je łakomie pożerać, jakby się lękał, że mu strawy zbraknie.

Radosna wieść o przyjściu na świat Zbawiciela rychło z niziny ziemskiej ku niebu pobiegła, i wnet spłynął stamtąd chór anielski i nad żłobkiem się unosząc, śpiewał rozgłośnie:

— Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Oderwawszy się od chóru onego, jeden z gońców niebieskich zamigotał srebrnymi skrzydłami nad pastwiskiem, gdzie pacholeta drobne trzód pilnowały wśród noby.

Gdy się zaleknieni pastuszkowie rozbiegli, ukoił strach ich słodkimi słowy:

— Zbądźcie trwogi, bo wieść radosną wam niosę. Oto narodził się w Betleem Król nieba i ziemi, wszego świata Odkupiciel. Bieścież do Niego za oną gwiazdą złotą, co na niebiosach świeci, i pokłon mu oddajcie.

Nie mieszkając długo, pobiegły one pacholiki przetowłose, w płótnianki i kożuszki owcze odziane, i ze zdumieniem znalazły w stajence nie dziecię królewskie w purpurze a złocie, lecz drobną wiejską dziecinę w zgrzebne szmatki spowitą. Mocna a słodka zarazem siła rzuciła ich na kolana, i pozdrowili maleńkiego Jezusa, co im bratem był w ubóstwie.

Ciekawie słuchał świat cały wieści o narodzeniu Bożej Dziecinę i w cudach radość swą głosił. Na błękitie ukazały się trzy kręgi słoneczne, które się wnet w jedno wielkie, płomiennie słońce zwały, o zjednoczeniu Ojca, Syna i Ducha w Trójcy świętej w ten sposób opowiadając. Z niebios jęły ściekać słodkie miody, rzeki na godzin kilka bieg swój zatrzymały, a krzew balsamu zakwitł kwieciami nieznannej piękności.

Dobiegła wreszcie radosna nowina do trzech mędrców-mocarzy, którzy we wschodniej stronie rozległe ziemie pod władzą swą dzierżyli. Chcąc powitać maleńkiego Jezusa, skrzyknęli liczny poczet służby i, obciążwszy swe wielbłądy bogatemi dary, wyruszyli w drogę, a gwiazda, na niebiosach gorejąca, szlak im wśród pustyni znaczyła.

Przybywszy do Jerozolimy, stanęli gościnnie u króla Heroda. Chmurnemi, złemi oczyma spojrzali na nich, gdy mu rzekli, że z darami dążą, nowonarodzonego Pana szukając. Wnet jednak gniew pokrył przymilnym, fałszywym uśmiechem, a nie wiedząc, jak znaleźć cudowne dziecko, rzekł do przybyłych wiodyków:

— Bracia drodzy. Nie omijajcie dworca mego w powrotnej wędrowce i rzeknijcie mi, gdzieście naszli króla onego, abym i ja mógł mu złożyć pokłon mój i dary.

Ujrawszy siwowłosych mędrców, którzy swe poradzone wiekiem czoła, do stóp mu chyliłi, podniósł Jezus rączkę i maleńkim krzyżyczkiem ich poźegnał; oni zaś złożyli mu u żłobka w ofierze, jako królowi i Bogu, złoto, kadzidło i myrrę. Obdarzyli też i Matkę Jego szatą ze złotogłowiu i bisioru tkaną i klejnotami, mieniąciami się barwą tęczy.

Uśmiechnęły się usta Marji wobec tych darów, ale Jej serca nie poruszyły one, bo i czemże były dla niej skarby świata całego, gdy u piersi tuliła skarb jedyny, najdroższy — jasną główkę swego Syna!



Jerzy Natęcz

DOBRY PAN

Zazgrzytały złowieszco zawiasy starej kasy pancерnej; rozległ się ponury odgłos zatraskiwanych drzwiczek — głuche uderzenie pierwszej garści ziemi na wieko trumny. Bilski przekreślił klucz, tkwiący w zamku i zagłębił się w wielkim fotelu, obitym ceratą.

W pokoju, do którego przez wąskie okno sączyło się skąpo posępne światło pochmurnego dnia, panował półmrok.

Na zewnątrz wielkie miasto kipiało gwar-nem życiem: ścierały się różnorakie poglądy, łączyły — wspólne interesy. W szrankach życia walczyli zaciekle zapasnicy o złoto i sławę, nierządno o kęs chleba o możność egzystencji. Kochano i nienawidzono.

Tutaj panował spokój trupi. Dusza prze-sycona stęchlizną i wilgocią, atmosfera pięknego, mrowanego grobu bogacza, przytłaczała piersi. Zdawało się, że rozhu-kany, warstki potok bujnego życia zatrzymał się na progu tego pokoju, ominął go i potoczył się obok.

Pozostał jeno słaby refleks; stłumione echo; zamglone, pleśnią czasu pokryte, odbicie w zwierciadle poczerńiałem tego, co niegdys było

Drobna, koścista postać Bilskiego, skulonego na fotelu, gdy siedział tak bez ruchu, w dawała się dobrze zachowaną mumją; jednakże oczy jego zadawały kłam temu pierwszemu wiarzeniu. Spojrzenie jego mówiło: nie umarłem.

— Deszcz — syknął w pewnej chwili Bilski, patrząc w okno.

— Deszcz w grudniu — powtórzył ze złością i skierował oczy na stojący na biurku, kalendarz terminowy.

— Dwudziesty czwarty — wyszeptał przez zaciśnięte, czarne, popsute zęby — wigilja Bożego Narodzenia — dodał po chwili.

Przymknął oczy.

— Wigilja Bożego Narodzenia — myślał — święto rodziny.

Dnia tego nie nosił, formalnie nienawidził, — Dlaczego?

Na to pytanie nie umiałby odpowiedzieć. Całe długie lata, samotności złożyły się na tę nienawiść, jaką czuł do tego dnia i do wszystkich, którzy w tym dniu obchodzą mniej lub więcej radośnie święto.

Serce pojone złością i goryczą zamarło. Jad zawiści, sączony, co dnia, do duszy, strawił niszczycielskim ogniem i spopielił najlep-

sze uczucia, a na pogorzeliisku piołuny wyrosły.

I chociaż sam wybrał drogę, po której kroczył i własnymi rękoma potargał wszelkie więzy, łączące go z najbliższymi, a wreszcie i ze wszystkimi ludźmi — nie winił siebie, lecz społeczeństwo.

— Dobrze, że jestem samotny i nie mam ani rodziny, ani przyjaciół, ni znajomych — monologował w duchu. — Nienawidzę wszelkiego zgiełku, a każde święto nie obejdzie się bez szumu, gwaru, a co najważniejsze — wydatku.

Spojrzał z pewnego rodzaju złością i lekkim niepokojem na, stojącą obok, kasę ogniotrwałą. Grymas wykrzywił zaciśnięte usta o białych wargach, zastępując uśmiech.

— Hi! hi! hi!

Głos puszczyka rozległ się w pokoju.

— Nawet nie pamiętam dokładnie, jak właściwie obchodzą wigilję — szu! dalej swe marzenia, wracając do poprzednich myśli. — Tyle lat, tyle lat. Byłem wówczas małym chłopcem, czternasto- a może nawet trzy-nastoletnim. Ostatni raz w życiu przy wigilij-nym stole.

Począł wywoływać z pamięci obrazy z dawno minionej przeszłości.

— Duży stół, przykryty białym obrusem. Pod obrus coś kładzono... aha! siano. Przy stole cała liczna rodzina; dzielą się opłatkiem. W rogu pokoju stoi choinka, jarząca się gorzącymi świeczkami.

Westchnienie uniosło zapadłą pierś Bilskiego, wróciło echem z głębi wielkiej szafy i skonało gdzieś we wnętrzu kasy pancерnej.

— Szalenie lubiał widok choinki; wносиła do mieszkania tyle życia, nadziei i światła. U niego w pokoju tak ponuro; mógłby sobie pozwolić na kupno choinki...

Przeraził się tej myśli.

— Głupi pomysł — począł się strofować. — Hi! hi! hi! Zachciało ci się, stary, choinki, wszak to kosztuje.

Przytłumiony dźwięk dzwónka przerwał mu zdumę.

— Ki djabel? — mruknął.

Podniósł się ociężale z fotelu i przeszedł do przedpokoju.

— Kto tam? — spytał szorstko, nie otwierając drzwi, wiodących na schody.

— To ja! Skórka — usłyszał odpowiedź.

— Czego? — indagaował dalej.

— Mam interes.

— Jaki?

— Aj! Jaki pan jest dziwny, przecież przez zamknięte drzwi nie będę mówił. Wpuść pan mnie do mieszkania.

Bilski po długim namyśle roztworzył drzwi.

— Wejdz i mów prędko — niecierpliwił się.

— Co sze pan dzisz tak irytuje — rozpoczął przybyły — zawsze miał pan czas, a...

— Do rzeczy — przerwał Bilski.

— Niech więc będzie. Na dole czeka i...



KOLEDA

(Obrazek z życia byłego ks. Poznańskiego)



I.

Ranek wstał zapłakany i chłodny. Postacie młodych dziewcząt i chłopców, pośpiesznie biegnących do szkoły, niejasno majaczyły w mlecznym morzu mgły jesiennej...

Jakoś niechętnie wchodziła dziatwa do szkolnego budynku, — już na ganku milkły rozmowy, — dzieci jak zastraszone pisklęta tuliły główki w ramiona i zajmowały w milczeniu miejsca w ławkach. Klasa wyglądała dziwnie ponuro, — czasem rozległ się stłumiony szepot polski, ale nie towarzyszył mu żaden uśmiech na młodych twarzach. Tylko dwóch chłopców, dostatniej od innych odzianych, głośną wiodło rozmowę po niemiecku, raz w raz donośnym wybuchając śmiechem.

— Widzisz, — szepnął Walek Grzela, wysmukły i szczupły chłopiec, do swego sąsiada, — jak to Franz po szwabsku szwar-goce.

— Nie dziwota — matkę ma Niemkę zaku-tą.

— Ale ojciec Polak.

— Tacy to najgorsi: ciągiem skarży nau-czyciela, że po polsku gadamy.

Wtem wszedł nauczyciel: tłusty Niemiec o błękitnych oczach, rudych włosach i pie-gowatej twarzy. Klasa zamilkła, dzieci ukłękły, nauczyciel zwykłą zaczął modlitwę: — Vater unser...

Nagle urwał, bo zamiast zwykłego chóru dziecięcych modłów usłyszał tylko parę pojedynczych głosów, wtórujących mu po niemiecku i dobitne słowo Walka:

— Ojciec nasz...

Nauczyciel podniósł głos, ale nie mógł za-głuszyć dzieci...

— ...który jesteś w niebie... odzywano się za Grzelą coraz śmielej i głośniej.

Przerwał więc modlitwę zdumiony nau-czyciel:

— Was ist das? — krzyknął oburzony.

— Milczcie!

Walkowi głos zadrżał, ale ciągnął dalej, a klasa mu wtórowała:

— Święć się Imię Twoje...

Nauczyciel przeklinając, jął gwałtownie bić Grzelę i sąsiadów jego po głowie grubą, kanciastą linją, którą trzymał w ręku.

Głośny płacz, serdeczny szepot i skarga rzewna popłynęły ku niebu z piersi biednej dziatwy i leciały wprost do Boga... Szkołę zamknęto. Walek po ciężkiej chłoscie, przesiedział trzy dni o głodzie i chłódzie w ciemnej komórcie. Z pomocą płaczącej matki za-ledwie zawlókł się do domu i tutaj rozcho-rował się obłożnie... Zaś na Grzelów na-lężono karę pieniężną, a że nie mogli zapłacić, ostatnią im krowę wyprowadzono z obory.

Gdy żalony ryk zwierzęcia rozległ się w podwórzu, dzieci Grzelów wybuchnęły płaczem:

— Kochana nasza kwiatuła!

— Żywicielka nasza! Coż wam teraz dam do jedzenia, skoro mleka i omasty za-

braknie? lamentowała Grzelina. — Ziemnia-ki pogniły, a mąki zaledwie odrobina...

— Matusiu, — szepnął rozgorączkowany Walek — to wszystko przeze mnie. I dwie łzy popłynęły po jego wynędzniałej twarzy. — Moje dziecko — taki już nasz los, — trzeba żeby ścisnąć i cierpieć w milczeniu.

Do izby wszedł Grzela, smutny, ale har-dy.

— Nie lamentuj matka, — rzekł do żony. Nie płaczcie robaki. Nie pierwszy to raz i nie ostatni.

— Tatusiu, to przeze mnie.

— Cicho, synku, cicho — rzekł chłop, spracowaną prawicą gładząc Walka po wy-chudzonej twarzy.

— Chłopca mi skatowali, że ledwie dy-cha... Boże! — zawołała Grzelina, — o, jak mu w piersi charczy.

— Wolałabyś, żeby był taki, jak Franz Kubik? Widziałem teraz starego Kubika; stał, gdy wyprowadzali naszą Kwiatulę — i wstyd żarł mu policzki...

— Biedny Kubik — westchnęła Grzelina, — i jemu też ciężko! Rzeczywiście, choć najbogatszy we wsi, Kubik najniezszczęśli-wszym był z ludzi: w domu wszystko było po niemiecku. Sąsiedzi stronili od jego chałupy, aby nie słuchać obelg jego żony. Chłop milczał i cierpiał, ale gdy syn też za matką poszedł — Kubik z rozpacz zaczął się upi-jać. Tak do reszty stracił szacunek u ludzi... i kiedy wyprowadzono Grzeli ostatnią kro-winę, — jakżeż on zazdrościł biedakowi! Nagle tknięty jakąś myślą, poszedł do komo-rnika, w kilku słowach dobił targu, zapłacił grzywnę za Grzelów i zabrał krowę. Po chwili namysłu zaprowadził zwierzę do szynkarza.

— Niechże miesiąc postoi u was, zapłaćę i chcę ją dać żonie na kolendę, — rzekł do niego. — Ale to sekret. — Gut, gut, — zamruczał szynkarz, zostawcie ją — będzie miała dobre.

II.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia, a Walek wciąż jeszcze chorował. Nie było ani na lekarza, ani na lekarstwo, a nawet i jadła delikatniejszego zbrakło, odkąd zabrali kro-wę.

To też siły powoli chłopczynie wracały i zaledwie na wigilję mógł się podnieść z łóżka. W izbie Grzelów od samego rana ruch panował, wielka krzątanina i rwetes. Go-spodyni z pomocą najstarszej córki, Marysi, upiekła chleba i parę kołaczy z serem, wy-bieliała izbę, umyła podłogi. A Walek z bra-tem zabrali się do klejenia szopki, — pod wieczór była gotowa, a śliczna taka! Sta-jenka z dachem słomianym, sianko w żłó-beczku z tektury i osiołek w głębi. A Dzieci-ątko Boże i Marja Panna — jak żywi: tak Walek pięknie wymalował ich portrety. Nie brakło tu Trzech Króli i Aniołów srebrzy-stych i pastuszków z darami...

Wreszcie błysnęła gwiazdka, — dzieci żwawo zaczęły nakrywać stół białą serwe-

lą, podścielając wonnego siana na pamiętkę, że Chrystus na sianku przez swą Matuchnę został złożony. Gospodarz ustawił w ro-gach cztery snopy żyta, aby się rozdziło i da-rzyło dobrze, a gospodyni ubogą wieczerzę podała: żur żytni z kartoflami, kapustę z grochem jagły i kluski z makiem. Już zasia-dali do stołu, gdy drzwi się otworzyły i do iz-by wszedł Kubik.

— Siadajcie z nami, kumie — zaprosiła Grzelina, — jedzcie, co Bóg dał: ubogać to wilja, ale nasza — polska.

— U mnie tam wszystko po niemiecku — rzekł przygnębiony, wstydząc się przyznać, że uciekł z domu, aby choć kolendę polską usłyszeć gdzie we wsi.

— Coż robić, kumie — przełammy się o-płatkami, rzekł Grzela. I zaczęto sobie ży-czyć wzajemnie zdrowia, szczęścia, urodza-jów dobrych, pomyślności w gospodarstwie.

— Co mi po tem, — rzekł Kubik, ma-chnąwszy ręką. — Czy mi warto pracować? Dla kogo? Żebym miał takie dzieci, jak wa-sze, jak Walek — mój chrześniak.

Walek wzruszony ucałował swego chrzestnego ojca w rękę.

— Może Bóg odmieni, gospodarzu, — rzekł.

Westchnęli wszyscy. — Wzięli się do ja-dła zaraz, bo dzieci były głodne, jako że od rana suszyły. Szybko zniknęły potrawy, — tylko Kubik nic prawie nie jadł, a wdychał często.

Po wieczerzy ustawiono na stole szopkę, zapalono świeczki — wszystko w niej jakby ożyło — i gdy chórem zaśpiewano kolendę, zdawało się, że to naprawdę w żłobeczku Dzieciątka kwili, że Trzej Królowie z darami przyszli z krain dalekich, a pastuszkowie prawdziwi kolendują małemu Jezusowi.

I choć nie dawano sobie wzajemnie podarków, choć nie było ani drzewka dla dzie-ci, ani miodu, ani jabłek, ani pierników, — a przecież jakaś radość zalała serca i wiara, że będzie lepiej na świecie...

Wtem z podwórza doleciał ryk głośny: to krowa, uwiązana przez Kubika u płota, cze-kała długo i niecierpliwie, aż wreszcie dała znać o sobie.

— Ola Boga! To Kwiatuła nasza! — za-wołała Marysia.

— Kwiatuła, ani chybi! potwierdziła go-spodyni.

— Kwiatuła, Kwiatuła! — ucieszyły się dzieci i pędem pobiegły na podwórze. Za nimi starsi pośpieszyli: rzeczywiście, — u płota stała Kwiatuła i radosnym rykiem witała dzieci i gospodynię.

— To chyba samo Dzieciątko Jezus nam ją na gwiazdkę przysłało. — zawołała Mary-sia, tuląc się do szyi poczciwej krowiny.

— A jaka piękna, jak się upaśła — cud, cud! — powtarzała Grzelina, raz wraz doty-

kając się swej wychowawcy. I nikt z Grze-lów nie wątpił, że to cudownie Bóg zesłał im na kolendę ich żywicielkę jedyną. Rado-ści, łzom szczęścia, wykrzyknikom nie było końca...

Wreszcie umieszczono krowinę w obórce — i powrócili do izby, radośni wszyscy i roz-promienieni. Nawet na ponurej twarzy Ku-bika rysował się uśmiech wesoly. Wkrótce jednak posmutniał i przygarbił się.

— Bóg wam zapłać za gościnę, — rzekł wreszcie — czas mi wracać do domu... Ot ta-ka moja kolenda! Taka dola nieszczęśliwa!

Tu nie zapanował nad sobą: od lat wielu tajony żal i gorycz napełniły łkaniem serdecznym jego piersi, jakaś żałość bezmierna ści snęła go za gardło, — a może rozkwiliły go kolędy, które dzisiaj każda polska brzmi chata, dwór czy pałac... doś, że Kubik ryk-nął głośnym płaczem.

Grzelowie z dziećmi zdumieni i bezradni otoczyli go kołem. Wtem drzwi się otwarły — wpadł Franz i rzucił się ojcu do kolan.

— Tatusiu — to ja — wasz syn — wasz Franek, — szepnął, całując rękę Kubika.

Na te słowa serdeczne, słowa po polsku wypowiedziane, Kubik podniósł twarz zro-szoną gorzkimi łzami.

— To ty, Franus? — spytał zdziwiony.

— Ja — nie Franz, lecz Franek, Polak od dzisiaj — i Polak do śmierci! — zawołał chłopiec.

— Jezu miłosierny! — wykrzyknął uszczęśliwiony Kubik — dzięki Ci: dałeś mi sy-na, dałeś mi szczęście, wszystko mi dałeś w ten święty wieczór Twego narodzenia!

A Franek, zbliżywszy się do Walka, szep-nął:

— Przebacz mi.

Za całą odpowiedź Walek uściśnął go ser-decznie, a Franek mówił:

— To twój przykład, twoja modlitwa już oddawna serce mi nurtowała, a teraz te ko-lendy, których ukryty w sieni słuchałem, i łzy ojcowskie tak zmieniły moje serce!

M. Mossoczowa.



no małżeństwo; oni chcą pożyczyc. Lombardy są już wszystkie zamknięte, ja ich właśnie przed bramą spotkałem. Pogadałem, do-wiedziałem się o co idzie i do pana ich przy-prowadziłem.

— A co dają na zastaw?

— Pierszcionek z brylantem, dwie obrączki złote i złoty łańcuszek z krzyżykiem. To byli kiedyś bogaci ludzie; wojna ich zniszczy-ła, a w ostatnich czasach do reszty zbidnieli.

— Pewni ludzie?

— Czy ja panu kiedy niepewnych przypro-wadziłem. Z mojej poręki miał pan dziesiątki klientów; czy był kiedy kram z policje, albo inne władze? — krzyczał oburzony Skórka.

— Dużo chcą?

— Oni chcą dużo, ale wezmą mało.

— Dlaczego?

— Czy z nożem na gardle może się ktoś targować. — Skórka wrzucił ramionami i dodał w formie wyjaśnienia.

— Mają w rodzinie kogoś bardzo chorego, siostrę czy też brata; potrzeba im koniecznie pieniędzy na doktora i lekarstwa.

— Przyprowadź ich na górę,

— Dobrze.

Zatrzymał się na progu.

— Dżyszaj należałoby się, po sprawiedli-wości, dla mnie nie dżeszć, a dwadzieścia procentów; bo pan dobrze na nich zarobi. Te biżuterje, co oni tu zostawia, to już nigdy nie wykupią.

— Nie trać czasu — sarknął Bilski.

— Jaki pan dżyszaj prędki — powiedział Skórka, schodząc ze schodów.

Po kilku minutach Bilski trzymał w drzą-cych z chciwości palcach przyniesione przez małżonków kosztowności.

— Mogę dać pod zastaw tych przedmio-tów — rozpoczął wolno — sześćdziesiąt, pięć-dziesiąt — poprawił się — złotych.

— Proszę pana — zawołała żywo kobie-ta — sam pierścionek wart jest trzysta zło-tych; tyle mi za niego dawano.

— Trzeba było sprzedać — odparł szorst-ko Bilski.

— Nie sprzedaliśmy, bo pierścionek ten sta-nowi dla nas bardzo cenną pamiętkę — rzekł, milczący dotychczas mężczyzna — zbyt wiele wspomnień jest z nim związane, abyśmy się go na zawsze pozbyli.

— Pamiętka niema dla mnie żadnej ceny — powiedział twardo Bilski — jedynie zło-to i brylant.

— O co tu szę sprzeczać — zabrał głos Skórka — pan coś postąpi, państwo opuszcają — a zwracając się wprost do Bilskiego ciągnął dalej

— To jest bardzo przyzwoite państwo im-te pieniądze są koniecznie potrzebne. Niech pan nie będzie taki uparty.

Rozpoczął się targ. Rej wiodł Skórka i dzięki jego popraciu Bilski pod zastaw przy-niesionych przedmiotów udzielił sto złotych, wzamian za co, po trzech miesiącach, miał o-

trzymać sto siedemdziesiąt pięć; w przeciwnym bowiem razie zastawione kosztowności przechodziły na jego własność.

Skórka, tytułem wynagrodzenia za wydat-ną pomoc przy uzyskaniu pożyczki, otrzymał od małżonków pięć złotych.

— Pijawka — padło z ust kobiety pod a-dresem Bilskiego, ale lichwiarz uśmiechnął się cynicznie. W ciągu jego czterdziestolet-niej „karjery” finansowej musiał niejedno-krotnie wysłuchać stokroć gorszych epitetów.

Gdy wreszcie pozostał sam, obejrzał jesz-cze raz z największą dokładnością otrzymane przed chwilą kosztowności i następnie scho-wał je do kasy, sam zaś usiadł.

— Moja gwiazdka — wyszeptał, myśląc o dokonanej przed chwilą lichwiarskiej tran-zakcji.

Nagle w głowie jego zrodziła się, dziwna, jak na niego fantazja: postanowił uczestni-czyć w wieczerzy wigilijnej. Wszak był za-proszony, co prawda, w sposób nie tyle oryginalny, niezasługujący na zbytnią uwagę.

Stał wczoraj przy przystanku tramwajo-wym. Dookoła nie było nikogo. Dał silny zimny wiatr, co wywołało u niego łzawienie. Wy-ciągnął więc z kieszeni chusteczkę i począł obcierać oczy.

Naraz uczył, że go ktoś za futro zlekka ciągnie. Ogląda się — mała, szczupła, może sześciolatnia dziewczynka o wielkich smut-nych oczach i bladej twarzyczce, patrzy na

niego z wielkim współczuciem i drżącym gło-sikiem mówi:

— Niech pan nie płacze. Mnie tak pana żal, tak bardzo żal.

Chciał odpędzić natrętą, lecz paraksyzm kaszlu nie pozwolił mu się odezwać.

— Pewno pan jest bardzo biedny i nie ma pan co pić. Ja często też jestem głodna — przy tych słowach wsunęła mu w rękę pięć groszy.

— Znalazłam na ulicy — wyjaśniła — niech pan kupi sobie bułkę i zje — dygnęła i zaczęła się oddalać.

Wróciła jednak po chwili.

— Pan taki siwy, pewno już bardzo stary — mówiła — i nie ma pan ani mamusi, ani tatusia, ani takich małych dzieci, jak ja.

Bilski, trzymając w ręku pięć groszy, śmiał się w duchu z komizmu sytuacji, której to dziecko nie rozumiało.

On, posiadający, skromnie liczyć, milion złotych majątku, otrzymał od jakiegoś biednego dziecka jałmużnę.

— Hi! hi! hi!

Udobruchany więc odrzekł:

— Odgadłaś, nie mam małych dzieci, ani mamusi, ani tatusia, jestem sam.

— Widzi pan — zawołała uradowana dzie-wczynka — ja to odrazu wiedziałam. Niech więc pan przyjdzie jutro na wigilję. Bo pew-no pan jest taki pan, jak to w tej bajce co mi mamusia wczoraj opowiadała. Taki siwy biedny dziadek co to potem jest św. Mikołajem

Człowiek o tysiącu twarzach.

Nieznany mistrz charakteryzacji — Lon Chaney.

— „Ostrożnie, nie nastąp na tego pajaka! — może to jest ucharakteryzowany Lon Chaney...”

Powyzszy „kawał” stał się od pewnego czasu przysłowiowym w Ameryce. Lon Chaney, wielki aktor i niezrównany mistrz charakteryzacji, słusznie zwany „człowiekiem o tysiącu twarzach”, doszedł w swej karierze do szczytnego punktu, kiedy każda nowa jego rola budzi powszechną ciekawość, a publiczność, przygotowana do najfantastyczniejszych niespodzianek ze strony artysty, niecierpliwie oczekuje rewelacji prasy filmowej, która znów traktuje każdą nową maskę Chaney'a, jako doniosły wypadek dnia.

Ciekawą rzeczą więc będzie ogłoszenie pewnych szczegółów o oryginalnym kunszcie tego wielkiego artysty. W tym wypadku sam Lon Chaney udzielił informacji, a pewien jego wielbiciel, mający także, jak widać, zamiłowanie do cyfr, zsumował rozmowę z artystą w następujący sposób:

Lon Chaney spędził 2180 godzin wyłącznie charakteryzując się w ciągu ostatnich pięciu lat. Codziennie siedzi on przed lustrem trzy godziny, zmieniając własny wygląd do niepoznania, a każda nowa maska wymaga przynajmniej dziesięciu godzin dla różnych eksperymentów.

Chaney występuje w czterech obrazach rocznie, a odliczywszy przerwy między poszczególnymi filmami, pracuje co najmniej 42 tygodnie w roku. W niedzielę odpoczywa. W ten sposób 42 tygodnie po sześć dni, po trzy godziny dziennie, dodawszy do tego dziesięć godzin eksperymentowania dla każdej roli, a także dziesięć godzin dla przygotowania potrzebnych materiałów w dwudziestu filmach w ciągu pięciu lat, — stanowi powyższą ilość godzin, równającą się także sumie i pół pełnych dni pracy, poświęconych jedynie charakteryzacji.

Podczas nagrywania roli w wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer, Chaney przychodzi zwykle do swej garderoby o godzinie szóstej rano, a starszy chińczyk zabrał mu o wiele więcej

i jest gotów do pracy o dziewiątej punktualnie. W „Mandarynie Wu”, charakteryzacja czasu, ale w „Demonie Cyrku”, lub też w „Śmieję się pajacul” (jego ostatniej kreacji) pomimo ogromnie zawiślanych przygotowań codziennych i trudnych do wykonania „twarzy”, Chaney utrzymał swój przeciętny rekord czasu.

W ostatnim swym filmie, p. t. „Śmieję się pajacul”, którego reżyserem jest znany Herbert Brenon, Chaney, zużył funt bielidła na maskę białą cyrkowego oraz dwie laseczki czarnej szminki dla wymalowania ekscentrycznej fizjonomji odpowiednimi znakami.

Pomimo swych dziwacznych i mocno skomplikowanych charakteryzacji, Chaney prawie że nigdy nie używa sztucznych włosów. Specjalnie unika on bród, wąsów itd. Uważając, że maska bez sztucznego zarostu jest o wiele więcej „subtelna” (dziwnie brzmi to ostatnie słowo w zastosowaniu do niesamowitych i wstrząsających masek tego „posiadacza tysiąca twarzy...”), Chaney kładzie dużą wagę na grę mięśni twarzowych, a nawet stara się o ile możności nie używać peruk. Oświadczył też on, że gdyby nie warokocze w chińskich charakteryzacjach, jak naprz. „Mandarynie Wu”, ilość sztucznego uwłosienia zużyta przez niego podczas ostatnich pięciu lat byłaby prawie znikoma.

Ogromnie interesującą są maski, jakie Lon Chaney stworzył w najnowszym swym filmie: „Śmieję się pajacul”. Piszę „maski”, bo aż w trzech zupełnie odmiennych postaciach ukazuje się znakomity aktor w tym oryginalnym filmie. Mianowicie, w pierwszej części jest on dwudziestoletnim młodzieńcem, potem mężczyzną średnich lat, wreszcie zaś starym bezzębnym clownem.

By dać swej twarzy wygląd młodzieńca, Chaney nakłada specjalną maskę woskową, i gdy to czynił po raz pierwszy, zużył cztery godziny, lecz potem wystarczyło mu już tylko dwie godziny i 15 minut. Praca nad pozostałymi maskami wymagała trochę więcej niż trzy godziny codziennie, za wyjątkiem ostatnich paru dni, kiedy zdobyte doświadczenie i wprawa ułatwiały mu i skracaly ten czas.

Opierając się na tak bogatym i różnorodnym doświadczeniu, Lon Chaney wyraża zdanie, że przynajmniej dwa tygodnie są potrzebne, aby się przyzwyczaić do danej charakteryzacji, oraz wżyć się w nią zupełnie.

Lon Chaney — chyba nie można temu zaprzeczyć — jest nie tylko wielkim artystą i niedoścignionym mistrzem „tysiąca twarzy”, ale i doskonałym mistrzem... cierpliwości.

Król dzungli w „Czarach”.

Podczas gdy w innych miastach na Zachodzie istnieją oddawna wspaniałe ogrody zoologiczne i ludzie mogą tam oglądać w naturze wszelkie okazy wspaniałej fauny podzwrotnikowej, my musimy zadowolnić się je-

nym u nas z filmów: „Tarzan wśród małp” i „Zemsta tarzana”.

Film ten niczem się nie różni od wielu innych tego typu filmów amerykańskich z masą frapujących, często niemożliwych bodaj



dyńnie tem, co nam ekran pokaże.

Nic też dziwnego, że gdy tylko afisz doniesie, że w obrazie występują, małpy, lwy, tygrysy, gromadzą się przed nim tłumy publiczności, tamując ruch uliczny.

Realizatorzy „Króla dzungli” zapowiadają, że w wielkim tym filmie bierze udział około 500 gatunków różnych zwierząt, na czele z głośnym pogromcą Elmo Lincolnem, zna-

z europejskiego punktu widzenia przygód. Ale, co jest niemożliwe dla Amerykanów?

Chcieć, to móc — mówią oni. No i mierzą siły na zamiary...

Dokładnego terminu wyświetlenia filmu Dyrekcja „Czarów” przez dyskrecję nie określiła, mówiąc, że nastąpi o tem oddzielne zawiadomienie.

Czekamy więc z niecierpliwością.

Kino „CAPITOL”.

Ostatni rozkaz.

Film ten można śmiało zaliczyć do szlagierowych a to ze względu na zwartą i dość oryginalną konstrukcję scenariusza, ze względu na stylowo i mimicznie wytrzymałe kreacje Janningsa i Evelin Brent.

Zasadniczy wątek dramatyczny, ilustrujący tragiczną historię upadku władzy rosyjskiej na tle rewolucji, został ujęty kompozycyjnie dość pomysłowo. Rewolucję rosyjską — tak skwapliwie wykorzystywaną, jako temat do filmu („Burza”, „Idjota”), w „Ostat-



nim rozkazie” pokazano nam w psychicznym przekroju człowieka, który wczoraj był wszytym, a dziś „niczym” — statystą.

Jedną z najciekawszych rewolucjonistek na filmie była Ewelina Brent, w miarę ognista, krwiożercza, w miarę ludzka i dostojna, w miarę kobieca i słaba, słowem, potężna gama subtelnych odcieni rozwichrzonych psychicznie kobiety — rosyjskiej rewolucjonistki.

Jannings, tak rzadko wykazujący jednolity ton i styl w grze, tym razem nie załamał się i nie wypadł z roli, którą dźwigał dostojnie i poważnie.

Reżyser J. Strenberg wykazał dużą kulturę i dobrą szkołę w inscenizacji, zabarwiając niektóre momenty ironią sceptycznego Europejczyki.



Niezapomniana scena z filmu „Ostatni pocałunek” wyświetlanego z wielkim powodzeniem na ekranie „Capitolu” a wyobrażającego Joannę Grawford i Johna Gilberta.

i grzecznym dzieciom dużo dobrych rzeczy i zabawek przynosi.

— Właśnie, właśnie — odpowiedział Bilski — jestem taki biedny siwy dziadek.

— No to niech pan do nas jutro przyjdzie — podała mu ulicę, numer domu — a nazywam się Marylka — zakończyła i dygnawszy odeszła.

Postanowił więc dzisiaj skorzystać z tego zaproszenia.

— Jacyś bardzo biedni ludzie — myślał — będą więc radzi, gdy się zjawię, niosąc hojne dary.

Ubrał się w futro i wyszedł. Było już zupełnie ciemno, gdy Bilski obladowany paczkami stanął u kresu swej podróży — kamienicę, której adres podała mu dziewczynka.

W bramie spotkał dozorcę.

— Gdzie tu mieszka dziewczynka, której na imię Marylka? — powiedział.

— Marylka, Marylka — powtarzał dozorca, spoglądając podejrzliwie na Bilskiego.

— Tak.

— Nie wiem — odezwał się wreszcie dozorca, zły w duchu na przybyłego, który pragnie otrzymać informację nie zapłaciwszy za nią uprzednio.

— Niech się pan zwróci do biura adresowego — dodał złośliwie — zapłaci pan to się pan dowie.

Bilski pojął jego intencję; włożył więc rękę do kieszeni i zabrzękał bilonem.

— Może jednak pan sobie przypomni — mówił.

— Spróbuje — dozorca usłyszawszy brzęk pieniędzy, spojrzął z większym, niż dotychczas uszanowaniem na Bilskiego.

— Marylka mieszka na trzecim piętrze w lewej oficynie — powiedział, udając głęboki namysł. — Ale tam oprócz dziecka nikogo nie ma. Rodzice przed godziną wyszli.

— Dziękuję — mruknął Bilski i skierował się w stronę lewej oficyny. W ślad za nim pobiegło przekleństwo dozorcę zawiedzionego w swych nadziejach.

Na trzecim piętrze Bilski zatrzymał się i zapukał do pierwszych z brzegu drzwi.

— Kto to?

Bilski poznał głos Marylki.

— To ja, moje dziecko — odezwał się — wszak wczoraj zaprosiłaś mnie na wigilję.

— A to pan?! — radosny pisk, a za chwilę Marylka otworzyła drzwi.

— Dobrze, że pan przyszedł — cieszyło się dziecko — mamusia i tatuś wyszli, a ja się tak bałam.

Bilski pogładził ją po jasnych włosach i wszedł wraz z nią do mieszkania, składającego się z jednego niewielkiego pokoju.

— Św. Mikołaj przysłał ci gwiazdkę — mówił, zdejmując futro.

Dziewczynka z zachwytem spoglądała na rozłożone na stole paczki.

— Jak ja się cieszę — wołała.

Bilski rzucił futro na łóżko, usiadł na krześle przy stole i wzięwszy na kolana Marylkę począł rozpakowywać przyniesione paczki. W jednej chwili pomiędzy starcem a dzieckiem zapanowała ogromna przyjaźń.

Dziewczynka nie posiadała się z radości na widok zabawek i łakoci.

Jedną ręką przytrzymywała dużą lalkę, drugą zaś kładła do ust figi, pierniki, czekoladki.

— Ja wiedziałam, że pan jest taki dobry pan jak w bajce — gwarzyła, gdy już się nasycała.

— Mamusia i tatuś nie mają pieniędzy, więc nic dobrego mi nie kupili, ale ja się tak modliłam. Pan Jezus przysłał mi pana — schwyliła Bilskiego za szyję i ucałowała go.

Radość dziewczynki udzieliła się Bilskiemu. Od czternastu lat nie czuł się tak wesołym jak w tej chwili.

— Złe jest być samotnym — przemknęło mu przez myśl — gdybym miał w domu takie rozkoszne dziecko, jak ta dziewczynka, byłbym zupełnie innym człowiekiem. „Dobrym panem” — uśmiechnął się z gorczycą.

— Ale czy wszystko nie może się jeszcze zmienić? Poprosi rodziców Marylki, aby pozwolili ją adoptować; zapłaci im o ile będą chcieli. On wychowa dziewczynkę i zapewni jej przyszłość. Jak dobrze będzie im razem.

— Słuchaj dziecko — powiedział w pewnej chwili, wkładając Marylce do ust nie-

omal, że cały piernik — musisz jutro przyjść do mnie.

— Dobrze! — zawołała dziewczynka.

— Kochasz mnie?

— Kocham.

— Bardzo?

Dziecko schwyliło go za szyję i przytuliło się całym ciałkiem do niego.

— Bardzo.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Mamusia i tatuś — dziewczynka zsunęła się z kolan Bilskiego i otworzyła drzwi.

Rzeczywiście, byli to rodzice Marylki. Bilski spojrzął na przybyłych i oniemiał. Wszystkiego się spodziewał, na wszystko był przygotowany, tylko nie na to, aby w rodzicach dziecka poznać swych niedawnych klientów, których wyzyskał w tak lichwiarski sposób.

— To jest dobry pan — opowiadała rodzicom Marylka — bardzo go kocham.

— Pijawka — przerwała matka, która poznała lichwiarza.

— Pan opuści nasze mieszkanie — krzyknął ojciec.

Marylka rozplakała się.

— To jest dobry pan — szlochała.

— Cicho! — gniewał się ojciec.

Bilski schwylił futro i czapkę.

— Nie będzie „dobrym panem”, zostanie „pijawką” — myślał, wynosząc się chyłkiem z mieszkania — tak chce przeznaczenie.

Literatura Polski Odrodzonej Pokiósie ostatniego dziesięciolecia

W momencie odzyskania Niepodległości Polska wiele hasel stanowiących integralną część literatury Polski porzuciła i musiała ulec zasadniczej zmianie.

Literatura nasza tem zawsze wyróżniła się od innych, że szła zawsze w parze z życiem całego narodu, że była czynną siłą ducha w budowie państwa polskiego, a nie służyła wyłącznie garstce wybrańców, gustujących w pięknie i nie zamykała się nigdy w ciasnej kapturze samoubóstwienia.

Stąd pochodzi jej namaszczenie święte i jej posłannictwo obywatelskie.

Tak ją pojmowali jej najwyżsi przedstawiciele, zarówno Kochanowski, jak i Krasiński, zarówno Mickiewicz, jak Słowacki i Krasiński, zarówno Prus, jak i Sienkiewicz, zarówno Reymont i Żeromski, jak Kasprzowicz i Wyspiański.

Zycie obywatelskie, potrzeby narodu i państwa, powołały ją przed wiekami do życia i w służbie dla tych wysokich celów spalały się serca i dusze naszych twórców.

To jest ten duch który ożywia naszą literaturę i robi z niej narzędzie najwyższych natchnień ludzkości.

Jeżeli z tego stanowiska spojrzymy na ostatnie dziesięciolecie naszej literatury, cóż o niem powiemy?

Ze bilans jej, podobnie jak nasz bilans handlowy, przedstawia się naogół ujemnie, że na tem polu panuje zupełna dezorientacja, że twórcom współczesnej literatury polskiej brak tej wiadomości wysokiego posłannictwa, jaka ożywiała jeszcze przedwojenne pokolenie twórców. Aby nie stawać zarzutów głośnych, przejdziemy poszczególne działy literatury.

Zacznijmy od powieści, która w dzisiejszych warunkach życia powinna objąć rząd dusz.

Starsza generacja powieściopisarzy gwałtownie wymiera, albo jest na wymarcu. Odszedł od nas Reymont, Żeromski, Daniłowski, kończy się Rodziewiczówna, Strug, Sieroszewski, Orkan.

Najwięcej utalentowany z młodszej generacji Perzyński, godny stanąć obok Prusa jako mistrz języka i stylu polskiego, rozprasa się w drugiej dziedzinie twórczości, w dramacie, nie dając w żadnej z nich rzeczy doskonałych, na wielką miarę, nie stworzywszy ani jednego arcydzieła.

Wprawdzie znalazło się kilka talentów poważnych i młodych, jak: Goetel, Kossak-Szczucka, Ossendowski, Kaden-Bandrowski, ale żaden z nich mimo pokąźnej nieraz twórczości nie zdołał podbić elity społeczeństwa polskiego, tak, jak to umiał zrobić Prus, Sienkiewicz, czy Żeromski.

Gdyby szło o wyróżnienie choćby jednego autora, któryby się stał wyrazem żyjącego pokolenia, to niepodobna takiego wskazać.

Natomiast z pewnym nieukrywanym niepokojem musimy zaznaczyć obniżenie się świetnej niegdyś literatury powieściowej do niskich instyktów mas i ich złego gustu.

Szerzy się niezmiernie u nas powieść — przemysł, powieść — sensacja, żerująca na rozkołysanych namiętnościach, na zdziwieniu instyktów, na wypaczeniu zmysłu moralnego.

Jeżeli „Jawnogrzesznica” Zarzeckiej rozszedła się w 50.000 egzemplarzy, jeżeli na zimno fabrykowane powieści egzotycznie Marczyńskiego rozchwytywane są przez szerokie koła czytelników, czegoż to innego dowodzi, jak zaniku dobrego smaku, myśli głębszej i uczciwego stosunku do życia u naszych powieściopisarzy?

Natomiast całe dziedziny życia naszego, w których dokonuje się głęboka przemiana charakteru narodowego, w których spala się najgorętsze serca polskie w rozpaczliwej walce o lepsze jutro, w których załamują się najgorętsze charaktery albo z nadludzkim wysiłkiem walczą o taką prostą rzecz, jaką jest możność swobodnego życia, te wszystkie wielkie walki, tragedje i zwycięstwa, nie istnieją w świadomości naszych powieściopisarzy. I dlatego bilans powieści polskiej mimo bogatej litanji talentów na tem polu, musi wypaść ujemnie.

A teraz przejdziemy z kolei na pole poezji, którą organizujące się życie nasze państwowe, zepchnąć musiało do roli nadzwyczajnego, świątecznego dodatku przy codziennym wydawnictwie naszej pracy. Futuryzm z drugiej strony ręki w bolszewickiej kuszulce, wykonywany jako ostatni krzyk mody przez żydowskich kolporterów a la Tuwin, Słomiński, Stern, Wat i Wittlin, wykończył cały szereg świetnie zapowiadających się talentów polskich w rodzaju Lechonia, Wierzyńskiego, Illakowiczówny.

Futuryzm spełnił naogół rolę czynnika dezorganizującego twórczość polską. Z grupy futurystów wszło najwięcej obelżywych urągów i napaści na polskość, przyczyniając się do obniżenia ducha obywatelskiego w społeczeństwie. Miarą zamieszania pojęć jest fakt, że futuryzm mimo przeciwdziałania ze strony polskiej, pozostał on w literaturze polskiej na zawsze symbolem najazdu umysłowości semickiej na polską. Nie bez winy są tu także wybitni polscy twórcy, którzy nie zorientawszy się w ogólnym charakterze futurystycznym, udzielali mu swego poparcia i zachęty.

Na bastionie napadanej polskości stanął syn Beskidów, Emil Żegadłowicz, ze swą grupą „Czardaka”, ale zacieśniony się w swym beskidzkim regionalizmie, nie może chwycić szerokiego oddechu, jaki idzie od szerokich pól Rzeczypospolitej Polskiej.

Kiedy się obserwuje zjawienie i błyskawiczne zanikanie młodych talentów poetyckich, nie można nie poddać się uczuciu żalu i smutku na widok męlika, w jaki wpadła młoda twórczość poetycka pod wpływem malej stosunkowo, ale ruchliwej i dobrze subwencjonowanej grupy pachciaży żydowskich.

A wreszcie przypieczmy się, jak wygląda twórczość nasza dramatyczna, której silnym bodźcem stał się świetnie rozwijający teatr polski.



Miejska Galeria Sztuki

Wystawa gwiazdkowa

Ostatnia wystawa w „Miejskiej Galerji Sztuki” przedstawia się bardzo interesująco i efektownie. Dyr. Dienst-Dąbrowa dał znowu dowód wielkiej incjatywy artystycznej, skupiwszy wśród szarych ścian „Galerji” szereg prac, z których niejedna stanowiłaby dumę muzeum wielkomiejskiego.

Z całej plejady artystów jacy biorą udział w wystawie gwiazdkowej, na czoło wysuwają się trzej: Aleksander Laszenko, Abraham Neuman i Wacław Dobrowolski.

Laszenko jest par excellence malarzem orientalistą, od szeregu lat bawiąc na Wschodzie przesiąk on nawskros pejzazem orientu. Skromne a malownicze, w słońcu skąpane krajobrazy Algieru i Egiptu dostarczają Laszenko tematów do rozlicznych jego kompozycji i prac. Laszenko jest pierwszorzędnym impresjonistą. Zwraca uwagę nie tylko na kolorowosć plamy, ale i na wyrazistość rysunku. Podobnie jak Adam Styka, maluje on swe obrazy w barwno soczystym pleiarze, operując niezrównanie efektnymi świetlnymi i ulubione jego kolory to oranż o błękitnych i fioletowych refleksach, świetnie ze sobą grającymi, a przesyconych światłem i słońcem.

Jego poetyczna „Noc w Tebach”, kapitał na „Tanceika” wyrazista „Głowa pasterza” i „Fata morgana” zestawione ze sobą, tak przed różnorodność swych motywów, jak sposobem ujęcia tworzą szeroką skalę po-

Dramat właściwy, reprezentowany przez Rozstworowskiego, Żegadłowicza, Perzyńskiego, Miłaszewskiego i Szaniawskiego zamiera.

Górę bierze lekka komedia i farsa, które mają wielu uzdolnionych przedstawicieli, jak: Grubiński, Kiedrzyński, Kawecki, Krzywoszewski, Fijałkowski, Grzymała-Siedlecki i Nowaczyński. Autorom tym trudno jednak dotrzymać kroku repertuarowi zagranicznemu, zwłaszcza francuskiemu, który pobija ich brawurą lekkością techniki scenicznej oraz głębszym wnikiem w aktuami rytym życia. Najlepiej stosunkowo rozwija się komedia satyrowa, polityczna, ale i ta przez ucisk cenzury politycznej skazana jest zgóry na śmierć w biednicy.

Ostatnie dwa lata wytworzyły dla literatury i jej rozwoju przez skrępowanie swobody myśli i słowa sytuację zupełnie bez nadziejną. Dlatego muszę zamknąć tę krótką charakterystykę naszej literatury za ostatnie dziesięciolecie Państwa Polskiego następującą uwagą:

Bilans literatury naszej w wielkim stylu jest w ostatnim dziesięcioleciu słabszy, niż był w okresie niewoli, ale jeśli swoboda myśli i słowa nie odzyska swych praw, będzie w następnym dziesięcioleciu jeszcze gorszy.

Wniosek ten wynika ściśle stąd, że sprężyną twórczości polskiej było zawsze pełne i szerokie życie obywatelskie.

Nawet w okresach niewoli były zawsze takie dzielnice i kraje, gdzie ono się pełniej rozwinać mogło.

Takim krajem była po 31 roku Francja, gdzie skupiła się emigracja polska.

Takim pod koniec 19 wieku była Austria która ze względów politycznych rozszerzyła granice swobody myśli i jej cenzury.

Natomiast upadek zainteresowania się żybiem publicznym i skrępowania cenzuralne prowadziły zawsze do upadku twórczości literackiej.

Tyle o literaturze w wielkim stylu.

Są ludzie, są talenty, zdolności, ale brak wewnętrznej dostojności u pisarzy naszych, a co zatem idzie odpowiedzialności.

Nie trzeba jednak zapominać, że obok literatury w wielkim stylu, istnieje w Polsce literatura dla małych, literatura dla dzieci, młodzieży, literatura popularna.

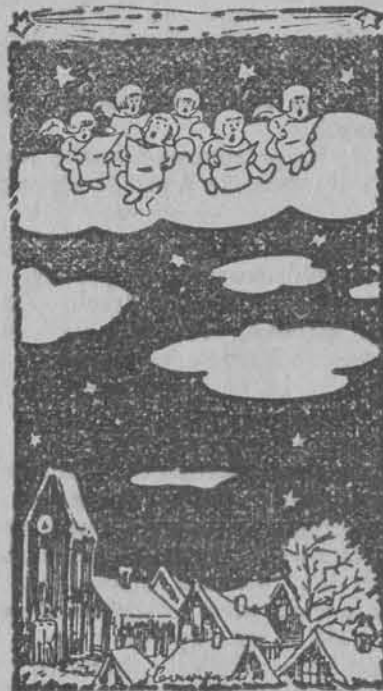
Rozwinięła się ona dopiero w wolnej, niepodległej Polsce.

Liczba autorów w tym dziale jest legion. Przeważają nazwiska kobiece. Wiele między nimi prawdziwie uzdolnionych, wiele też jednak miernot i źle piszących po polsku. Jest to twórczość na dorobku. Zaczęła ją Prus swojemi cudownymi opowiadaniem z życia dzieci, wzbogacił ją Sienkiewicz powieściami „W pustyni i puszcy” oraz Dygasiński powieściami z życia zwierząt. Z uzięszych autorów żaden jednak nie dorównał starszym wzorom. I w tej dziedzinie pole otwarte i czeka na wielki talent, a wraz z nimi czekają rzesze naszej działy, spragnionej zdrowej, rozumnej i mądrej literatury.

Narazie w braku rodzinnych lepszych dzieł rozchodzą się szeroko tłumaczenia dzieł obcych: Andersena, Selmy Lagerlöf, Edmunda de Amicis, Kiplinga.

Jednakowoż wierzymy, że z czasem i ta luka literatury pięknej zostanie zapełnioną.

L. C.



równawczą dla bogatego i skryzalizowanego talentu Laszenki.

Abraham Neuman jest również orientalistą. Bawiąc czas jakiś w Palestynie, wzbogacił się doskonałymi plótnami, które przyniosą chlubę swemu twórcy. Piękna i harmonijna koloratura łączy się tu arcyścieśliwie z doskonałą perspektywą i ze staranną linią, w klasycznym wyczelowaniu. Arcitektura Jerozolimy, Nazaretu i Akki, plawiący się w skracan słończnych pejzaz Galilei — to najulubieńsze i najbliższe Neumanowi motywy.

Niemniej pociąga go i krajobraz Polski, wśród której rozwijała się twórczość artysty. Charakterystyczne jest że Neuman nie patrzy w świat przez pryzmat talmudu, ale na spojrzenie tatarskie. Takie plótno jak „Teresa w Wiljanowie”, czy przepyszny „Staw w parku Łazienkowskim” świadczą o tem jak najwymowniej, Filigranowa i suotelna jest praca twórcza we „Wnętrzu salonu” i t. d. i t. d.

Abraham Neuman, który z okazji 30 lecia pracy artystycznej doczekał się monografii o sobie napisanej przez Gotliba to artysta tegi, świadom drogi i celów swej twórczości.

O utalentowanym Łodzianinie Wacławie Dobrowolskim wspomnieliśmy już dawniej, z okazji jego poprzednich wystaw. I w tym miejscu zaznaczamy raz jeszcze, że Dobrowolski w rysunku jest jednym z najlepszych artystów polskich. W momencie gdy maluje, roperując plamami, zaniedbując naogół troskę o staranność linii, zjawisko takie jest conajmniej niecodziennem. Różnica co się w oczach tak w jego licznych portretach i krajobrazach.

Podróż jaką odbył artysta ten do Włoch a głównie jego pobyt na Capri, przyniósł Dobrowolskiemu bogaty plon. Prawie sto jego szkiców i studjów świadczą, z jak gorliwą skwapliwością rzucił się artysta na przyswajanie sobie nowych tematów.

Jego wrzucenie i emocje artystyczne, uwiecznione w małych studjach, noszą charakter szczerości i bezpośredniości.

Niektóre z tych obrazków, jak „Grande Marina”, „Anna-Capri”, „Fragilioni” są skończonymi dziełami sztuki. Inne natomiast stanowią bogaty przyczynek do późniejszych prac Dobrowolskiego. Szkice te dostarczyć mogą przebogatego materiału do większych kompozycji.

Z przyjemnością stwierdzamy piękny rozwój techniki malarskiej Dobrowolskiego, po którym w przyszłości spodziewamy się bardzo wiele.

Kyszard Radwański reprezentuje malarza o pięknym wyrobie, sumiennosci i dołności artystycznej. Polski jego krajobraz jest zgoła niebanalny: przyciąga swoistością swych motywów, zdobywa swą rzetelnością.

Artori Wippel szuka tematów nad brzegiem purytynowego Bałtyku. Jako maryni- sta jest Wppel malarzem naogół szczęśliwym, pokonującym tak trudności perspektywiczne, jaki konstrukcyjne z łatwością.

Twórczość Antoniego Brajego i Lory Dońskiej jest dopiero w trakcie krystalizacji.

Obrazy Klary Hessówny — słabe.

W sumie, wystawa nader interesująca i godna zwiedzenia.

Miecz.



JAN KOŚMIEZ

SENSACJA PEWNEGO PRZEDPOŁUDNIA

Zdziwaczał od chwili, gdy w zacieklej kłótni mały, wąty człowieczek, grożąc, życzył mu śmierci.

Po jego odejściu Robert wpadł w zadumę i, siedząc bez ruchu w fotelu, zdawał się być umarłym.

Żona uchyliła drzwi, lecz popatrzywszy na niego, pomyślała: „Przejął się. Trzeba go zostawić w spokoju”. Wzięła za rączkę małą córeczkę i zaprowadziła do dziecinnego pokoiku, mówiąc:

— Baw się cichutko, bo tatuś jest słaby.

Sama poszła do salonu i wtuliwszy się o róg kanapy, patrzyła na zmierzch, który zwolna wysuwał się z poza firanek w okien. Uparła myśl opadła ją, jak mrok: „Robert skrzywdził tego człowieka” — i to ją może wstrząsnęło, że nie poszła do męża, aby go pocieszyć. Potem usłyszała kroki. Przyszedł Robert i stanął koło niej.

— Marjo, nie przestrasz się, powiem ci smutną wiadomość.

Co się stało?

— Umarłem —

Spojrzała na niego i chciała się roześmiać, lecz nagle wybuchnęła płaczem. Ukryła twarz w dłoniach. Czuli, że rękę położył na jej głowie i gładził włosy, jak dziecku. Przeczekał:

— Jak to ciężko widzieć po śmierci ból najbliższych.

Nie mogła pohamować łkania. Robert opuścił ją i słyszała, że wyszedł z domu.

Napród udał się do zakładu pogrzebowego i polecił wydrukować klepsydry. Zapytali go, kiedy ma się odbyć pogrzeb. Zamyślił się nad tem głęboko. Milczeli taktownie, spozstrzegawszy, że bardzo jest przejęty tą śmiercią. Robert po chwili odpowiedział stanowczo:

— Pogrzebu nie będzie.

Wobec czego bardzo byli zadowoleni, kiedy ich pożegnał dziwny interesant. Roztargnienie przypisałi rozpacz, więc spodziewając się, że niedługo zjawi się z zamówieniem pogrzebu ktoś bardziej opanowany, zanotowali na własną rękę w teście klepsydry, że odbędzie się on za trzy dni.

Tymczasem Robert zamieścił w kilku dziennikach krótkie wzmianki o swojej śmierci i dopiero wtedy powiedział sam do siebie:

— Teraz wszystko w porządku.

Na drugi dzień Marja przechodziła koło kościoła właśnie w chwili, gdy człowiek w białym kitlu z czerwonymi mankietami przylepił nową kartę i wielkim pendzlem mazał po czarnych obwódkach. Marja zachwiała się, przeczytała nazwisko męża. Starowinka-dziadówka podtrzymała ją i ofiarowała się odprowadzić ją do domu. Marja oparła się na trzęsącym ramieniu staruszki i tak poszły ulicami, dziwiąc przechodniów. Przed drzwiami mieszkania Marja, dziękując za pomoc, wyjęła garść drobnych pieniędzy. Gdy je wkładała w rękę dziadówki, twarz jej nagle pobladła i była tak biała, jak papier klepsydry pod ostroodcinającymi się literami: Robert. Powiedziała przedko, jednym tchem:

— Pomódlcie się za duszę Roberta.

Marja zatelefonowała do doktora, do znajomego psychiatry. Przyszedł niezwłocznie. Po chwili wiedział już, o co chodzi, więc zapukawszy, wszedł do gabinetu Roberta, myśląc nad tem, którą metodę zastosować. Wesołość wydała mu się najstosowniejszą. Zatem witał się dowcipkując i pytał z przyzwyczajenia o zdrowie. Robert odpowiadał również z uśmiechem:

— Kochany doktorze, to może pierwszy raz się zdarza, że doktor przychodzi do domu, gdzie jego pacjent już nie żyje.

Doktor jeszcze chwilę rozmawiał z Robertem.

Gdy znalazł się znowu sam na sam z Marją, pocieszał ją dobrą wieścią:



— To może przejść pani Marjo. Mąż pani rozmawia bardzo rozsądnie. Jest to jedynie maniactwo w ostrej formie, w tym wypadku wynika z silnego wrażenia. O domu obłąkanych niema mowy, to tylko pogorszyło by stan.

Chwilę później doktor miał jeszcze raz sposobność pomówić z Robertem.

— Niech mi pan opowie, jak się to wszystko stało?

— Moja śmierć, doktorze? Śmierć zaskoczyła mnie zniecka. Czuliem, że się zbliża, chciałem krzyczeć o pomoc — i nie mogłem, milczałem, chciałem zerwać się i cisnąć w nią fotel — chciałem zabić śmierć! Nie miałem siły, nie drgnąłem nawet. Ogarnęła mnie ciemność i taki lęk i uczucie, jakie można mieć tylko wtedy, gdy się leci w przepaść, a w palcach nóg czuje się zimno, bo nogi w mgnienie momentu wcześniej się rozstrząskają. W tym szalonym pędzie, który trwał wieczną sekundę, zobaczyłem całe swoje życie od chwili urodzenia. W tej jednej sekundzie przesunęły mi się przed oczyma wszystkie chwile z godziny na godzinę, z dnia na dzień, wszystkie moje uczucia i myśli, wszyscy ludzie, miasta, kraje, każdy sprzęt. Poznałem, co było dobre, a co złe. Zniknęło. Objęła mnie cisza próżni i beżmierny spokój. Moje napięte nerwy — rozprężyły się. Zupełny odpoczynek — rozpląnął się.

— A potem?

— Potem sąd. Byłem wypoczęty, znowu sobą silny, jak po ożywczym śnie. Okropna jasność oświetlała wszystko. I ten mój ostatni postępek. Każdy ból był nagrodzony w życiu i za każdą winę za życia przecierpiałem. Tylko ten ostatni mój czyn był niewyrównany. Wróciłem, dlatego na ziemię, by odpokutować. Ale tutaj wszystko mija.

— A cóż to była za jasność?

— Jasność — to była — to była — Nie pytaj mnie o to, doktorze, to nad moje siły.

Pierwszy przyszedł stolarz z tej samej ulicy. Nieśmiały głosem przekonywał, że właśnie mógłby wziąć miarę z nieboszczyka i że bardzo chętnie zrobi, piękną, solidną trumnę. Marja nie wiedziała, co mówić przedewszystkiem chciała go zempredzej odprawić. Ale stolarz nalegał, wynurzając się, że jest od dłuższego czasu bez pracy. Wtedy Marja powiedziała mu prawdę. Stolarz obrzucił się.

— Więc pani nie chce mi dać zarobić.

Włożył przy niej kapelusz, naciskając klamkę, dodał:

— Nie powinna pani drwić sobie z ludzi w takiej chwili, gdy mąż leży na katafalku. Przez dwa dni przychodzili krewni i znajomi. Po wysłuchaniu wyrazów współczucia Marja każdemu z osobna musiała opowiadać o istotnym stanie rzeczy i przewyższać ich niewiarę, a potem przypatrywać się ich nadmiernemu zdumieniu. Przybita moralnie znosiła teraz nowe katusze.

Egzaltowana kuzynka przejęła się bardzo historją Roberta, że blisko dwie godziny pozostawała u Marji, a zadając jej ciągle te same pytania, powtarzała z małymi przerwami: „Ja dzisiaj nie będę mogła spać”.

Na szczęście inni, gdy minęło pierwsze zdumienie, wynosili się zaraz z domu dziwnie żaloby, najczęściej nie pragnąc oglądać człowieka, który ich nieprzyjemnie oszukal. Gdy kto zdecydował się zobaczyć Roberta, zupełnie nie wiedział, jak się wobec niego zachować. Jednak ten człowiek już nie należał do świata. Nawet przyjaciele uczuwaliby pewnego rodzaju zawód.

Telegramy i listy kondolecyjnie otwierał Robert. Ich treściwy ból wchłaniał w siebie i myślał, że jeżeli ludzie —

Napisal pośmiertne wspomnienie o sobie i wysłał do gazety.

Chociaż wieść o niedokonanej śmierci Roberta odiegła miasto, znalazło się dosyć niepowiadomych, którzy w dniu oznaczonym na karcie, zeszli się na pogrzeb. Kilka osób przyszło do mieszkania, ale niepokoił je brak przygotowań. Marja prosiła do salonu.

Na ulicy zebrała się garstka ludzi. W miarę przedłużającego się czekania prowadzono ożywioną rozmowę. Jakas kobieta przyszła z prawdziwą wieścią, która momentalnie przerodziła się w przerażającą historję. Wytworzył się nastrój grozy, niesamowity. Któs krzyknął histerycznie i zaczął uciekać. Zebrańi rozchodzili się przedko.

W salonie, w mieszkaniu Roberta — wszyscy siedzieli milczący, przygniecieni lękiem, bladzi, jak umarli. A Robert opowiadał im o swoim pogrzebie.

W kilka dni później Robert przestraszył niebezpiecznie ciotkę, która przyjęłała ze wsi dowiedzieć się, jak rozporządził testamentem. Był sam w domu, kiedy zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej. Zobaczywszy go, zatrzępotała rękami i piewszy raz w życiu naprawdę zemstała. Zaniósł ją do pokoju i uciął. Gdy odzyskała przytomność krzyknęła w paroksyzmie strachu, ale zabrakło jej siły do uciezki. Pozostała w hotelu, wpatrując się w siostrzeńca w taki sposób, jak mniej więcej każdyby to na jej miejscu uczynił.

A Robert mówił spokojnym, przekonyującym głosem.

— Wroszę się nie bać, ciociu. Ja już umarłem. Jeśli ciocia ma ochotę, to może opowiedzieć wrażenia pierwszych chwil w grobie.

Ciocia zerwała się z hotelu i z nieludzkim krzykiem dopadła drzwi. Jeszcze słysząc było przedko cieżkie kroki po schodach, jakgdyby ciocia przeskakiwała po kilka stopni odrazu.

Smutny był dzień Roberta. Każde przedpołudnie spędzał u niego doktor. Przyczodził codziennie i wszczynal dyskusję. Raz Robert zauważył:

— Doktorze, mam wrażenie, że pragniesz przywrócić mnie do życia, ale wskrzesić umarłego to się chyba żadnemu lekarzowi nie udało.

Mimo to doktor przychodził codziennie.

Przy obiedzie Robert wijał swoją zlotowłosą córeczkę. Małenstwo wiedziało od matki, że tatuś jest chory, chociaż nie leży i pamiętała zawsze o tem, że ma mówić o wszystkim, tylko nie o chorobie ojca.

Robert, jedząc obiad, miał żył w oczach, chociaż potrawy nie były tak gorące, aby go mogły poparzyć.

Marja rozmawiała z nim jak zwykle o wszystkim. To go przemęczało. Nic nie obchodziło go życie, a ludzie — to były już stoty inne, obojętne. Czasem mówił o tem do Marji.

— Dlaczego zapominasz, że ja już przestałem żyć? Z pewnością nie dałaś na mszę. Widać, że nawet nie nosisz żałoby.

Wtedy Marja opuszczała ołowę na piersi. Po chwili wychodziła z Anitą na spacer.

Gdy Robert zostawał sam, myślał:

— O, gdybym jeszcze żył.

Przez otwarte okna docodził gwar miasta, a duże smugi słońca leżały na podłodze. Robert pisał zyciorys. Jedno zdanie było owocem godzinnego dumania i zgletku wspomnień.

„Urodziłem się w listopadzie, trzydzieści lat temu. Ale najważniejszy jest miesiąc, w którym człowiek przychodzi na świat, niż rok. Posępne światło wnikaące do moich oczu kształtowało pierwsze myśli. Oibryzmie przedmioty oglądane w pierwszym roku mojego życia wytworzały kanciaste i okrągłe wyobrażenia. Za dużo było cieplnych par. Gdy zobaczyłem radością jasność słońca miałem już kilka miesięcy. Dzisiaj znowu to wszystko dobrze sobie przypominam. Amnezja pierwszych lat życia ustąpiła.

Miałem pięć lat: spotkała mnie największa przykrość w życiu. Odczułem ją silniej, niż późniejsze nieszczęścia. To było w ustronem miejscu publicznego parku. Gratem na trawce, a trawka miała tylko jeden ton. Gratem głośno i wytrwała. Byłem trębaczem. Koło mnie przebiegały pułki. Moja pobudka wlewała w nich męstwo. Bój wrzał opodal. Nieprzyjaciel zaczynał się cofać. Jeszcze chwila, a zagram triumfalną fantazję. Ale przyszedł pan z czarną puszystą brodą, wziął mi trąpkę. Oddalił się razem z nią a ja pozostałem na miejscu i bardzo rzewnie płakałem. Kięska moja była zupełną. Otdąd gwy ktoś mówił przy mnie o jakimś złym człowieku, przed oczami stawał mi obraz z czarną puszystą brodą.

Szablone stopniowanie w czerpaniu wiedzy i zajmowaniu coraz to wyższych stanowisk wypełniało mi lata, a teraz jest to dla mnie tak białe, że nie potrafi mi nawet wspomnienia o tym okresie wypełnić. Jeśli było coś warte, to moje śliczne podróże, jak film kręcony wśród zmieniających się dekoracji. Czasem jakaś wyrazista twarz odegrała dobrze rolę. — Matka z wysp polinezyjskich. Patrzyła na oddalający się do Ameryki okręt, którym ucieka jej córka, a wargi szeptały słowa przekleństwa. W nocy bu za zatopila okręt. Gdy nadeszło pogodno, ciche rano matka siedziała nad morzem, trzymając na kolanach corke, której martwe ciało odniosły jej fale.

Patrzyłem długo w twarz matki. Tak, czasem jakaś wyrazista twarz odegrała dobrze rolę. — Zresztą — film mojego życia miał treść przeciętną, więc nie zajmujac.

Niestety życie moje było zwyczajne, za bardzo zwyczajne. Oczekiwałem czegoś niezwykłego.

Myslałem, że lepiej nawet tak żyć, jak Szymon, niż tak banalnie, jak ja. Szymon był biednym manakiem. Zdzierał klepsydry i tapetował niemi ściany i sufit swego pokoju. Nazywał je portretami. „Widzi pam tego mizernego chłopca — mówił do mnie, wskazując na kartę pośmiertną — umarł na suchoty”. I opowiadał mi dziwaczne historie z jego życia. Potem przechodził do drugiej klepsydry.

Aż nareszcie zerwałem czarną krepe z myśli. Rozpocząłem nowe życie. Słońce wtedy dopiero ogrzało mnie, jak dobre oczy Marji rozweseliła mnie jasna czuprynka Anitki. Zdawało mi się, że doszedłem dopiero do połowy drogi, gdy zaskoczyła mnie śmierć. Głuch turkota karawan po bruku, wstrząsając moim ciałem, a i tak już wstrząsnął mną płacz. Zanim spuszczone trumnę do grobu dochodziły do mnie słowa mowy pogrzebowej. Nigdy jeszcze nikt nie mówił o mnie tak dobrze. Wreszcie zwały się na wieko pierwsze gruzy i następne, coraz mniej doklitwe.

Teraz. — Wiem, że ludzi żyjących ciekawi to przedewszystkiem, co jest na drugim świecie, ale nie zaspokoję waszej ciekawości: — tego nie da się wyrazić słowami ludzkiej mowy, bo tu jest — inaczej”.

Robert włożył zapisany papier do koperty i nakreślił po namięsie adres tygodnika, który wychodził w innym mieście.

(Redaktor uznał, że jest to ekscentryczna nowelka i wyrukował ją.)

Marja leżała chora.

Anita przyszła do ojca i mówiła:

— Tatuś jest przecież moim tatusiem, to niech idzie ze mną na spacer.

— Nie mogę dziecinko, bo ja już umarłem.

Anita zrobiła wielkie oczy:

— Tatuś umarł?

— Tak Anitko.

Zamyśliła się głęboko. Przez okno wpadły promyki słońca. Powiedziała stanowczo:

— Ale na spacer ze mną tatuś iść może.

Wobec tego Robert poszedł z Anitką. Zaprowadziła go do miejskiego ogrodu.

Robert patrzył na mężczyzn, którzy tak, jak on przechodzili się z malutkimi córeczkami. Kobiety w barwnych sukniach wozily po alejach wózki, w których pyzate bobabły rączkami o koiderki. Naokoło pomnikow gonily się dzieci, jak motyle w słońcu.

— Jak tutaj przyjemnie! — zawołała Anitka.

— Bardzo przyjemnie Anitko.

— Słoneczko nas grzeje, a wiesz tatusiu że jak idziemy pod drzewami, to słoneczko przez liście się patrzy, dlategośmy się przed niem schowali.

Robert siadł na ławce. Anitka usiadła obok niego.

Prawda, że te kwiatki są ładne? — pytała Anitka, pokazując paluszkami na klonby, które wytrzasnęły kolorowym przepychem z zielonych trawników.

— To są śliczne kwiaty.

— A czy tatuś mnie kocha.

Robert caluje jej kędzierzawą czuprynkę.

— Jakżebyś mógł cię nie kochać, Anitko.

Anitka myśli bardzo głęboko, a nagle mówi:

— Jeżeli ty mnie kochasz i kwiatki ci się podobają i jest ci przyjemne, to ty nie umarłeś tatusiu!

Robert ma wrażenie, że wszystko wiruje mu przed oczyma — jakaś myśl dobija się do świadomości, że już się skończyło — co? — pokuta? — czuje się tak, jakby wrócił skąjs, gdzie mu nie było dobrze..

Bierze Anitkę na kolana i tuląc w żarliwych objęciach, mówi, śmiejąc się ze szczęścia:

— Ja żyje, Anitko, ja żyje..



Izadora Duncan

Spożycie Eleonory Duse z Gordonem Craig'em

W jednym z pism teatralnych niemieckich spotykamy ciekawy artykuł ze wspomnień Izadory Duncan. Cytujemy z niego niektóre ustępy:

„Dzięki mnie Gordon Craig poznał Eleonorę Duse. Duse zachwycona była i podniecona jego ideami teatralnymi. Postanowiono więc, że Craig wystawi „Rosmersholm” Ibsena na cześć Eleonory Duse. W pociągu pośpiesznym do Florencji jechaliśmy razem. Duse, Craig, moje dziecko i ja. Byłam u szczytu szczęścia. Obie istoty, które ubóstwiałam potrafiłam zetknąć ze sobą. Dzieło Craig'a będzie mogło się zrealizować a Duse znajdzie właściwe ramy dla swego geniuszu.

Przy pierwszej rozmowie służyłam za tłumacza, bo Craig nie umiał ani po francusku, ani po włosku, a Duse nie rozumiała po angielsku. Stałam między obydwojema genjuszami, które miały zupełnie rozbieżne zaprawy. Chciałam szczęścia ich obojga, i udało mi się to osiągnąć tylko za pomocą kłamstwa. Przedstawienie nie byłoby doszło do skutku, gdybym im powtarzała wiernie ich zdania. Gdy w pierwszej scenie „Rosmersholm” Craig zaproponował olbrzymie wnętrza na kształt egipskiej świątyni, zamiast małego pokoju, Eleonora wyraziła swoje zastrzeżenia. Na to Craig: Powiedz tej wstęplnej osobie, żeby się nie mieszała w nieswoje rzeczy”. Przetłumaczyłam to: „On powiedział, że podziwia twoje ujęcie sprawy, i że zrobi wszystko, ażeby cię zadowolić”.

Wobec tego sprowadził się Craig z tuzinami garnków malarskich i szerokich pendzli do teatru. Zabrał się sam do malowania dekoracji. Nie mógł dostać zrazu płótna i musiał sklejać ze sobą worki Stare Włoszki zszywały worki, młodzi malarze pomagali Craig'owi, który obrzucał ich wymyślanymi i pendzlami, z rozwianymi włosami biegali po niebezpiecznie wysokich drabinach i wogóle nie opuszczali teatru ani w dzień, ani w nocy.

Duse nie wolno było wejść do teatru. „Jeżeli wejdzie — wyjeżdżam odrazu — powiedział Craig”. Ale Duse pociągnęła chęcią poznania nowych dekoracji Craig'a, i musiała propozycjami długich spacerów w ogrodach Boboli oddać ją od pracowni Craig'a. Tymczasem dekoracje „Rosmersholm” postępowały naprzód. Ilekroć weszłam do teatru, aby Craig'owi przynieść śniadanie czy obiad, znajdowałam artystę w stanie, który wahał się pomiędzy gniewem a burzliwą radością. Chwilami myślała ona, że zrealizuje wielkie objawienie artystyczne, w moment potem był zrozpaczony i płakał, że nie może znaleźć pomocników, i że zmuszony jest sam wszystko stworzyć. „Jeśli ta baba odważy się tutaj nogę postawić, to rzucę jej garnki z farbami na głowę”.

Gdy zbliżał się wyznaczony czas, kiedy Eleonora miała zobaczyć gotowe dekoracje, starałam się wszelkimi możliwymi środkami ją zabawić i rozzerwać. Na oznaczoną godzinę zabrałam ją, aby towarzyszyć jej do te-

atru. Podczas jazdy byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam prawie mówić. A musiałam używać całej mojej dyplomacji, ażeby ją powstrzymać od wejścia za kulisy. Kazałam otworzyć boczne wejście i zaprowadziłam ją do łoża. Przez długi czas powtarzała Duse ustawnie: „Czy będzie to wyglądało tak, jak ja to sobie wyobrażałam?” Ciszę przerywały od czasu do czasu okrzyki Craig'a za opadniętą kurtyną: Na rany boskie, czemuż pan nie robi tak, jak panu każę? I znowu cisza. Wreszcie po śmiertelnie długim czekaniu, które wydawało mi się bez końca, kiedy czułam, że wściekłość Eleonory dochodzi do zenitu, zaczęła się kurtyna z wolna podnosić do góry.

Jak mam opisać tę chwilę? Jak opowiedzieć co ukazało się naszym olśnionym i zachwyconym oczom? Nie była to świątynia egipska, ani gotycka katedra, ani pałac ateński. Daleko, poprzez rozległe niebieskie oddale, poprzez niebiańskie harmonie, łagodnie wznoszące się linje, dusza biegła do jasnego wycinka sceny, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność wszechświata.

Ręka Eleonory wbiła się w moją. Objęła mnie długim uściskiem. Łzy płynęły po-

przez jej piękne oblicze. Stał się przez chwilę w milczącym uścisku. Eleonora była oniemiała z zachwytem i artystycznego podniecenia. Potem chwyciła mnie za rękę i długimi krokami pobiegła poprzez ciemne korytarze, aż na scenę. Dotarłszy tam, zawołała: „Gordon, chodź tu czempredzej!” Craig wypłynął z po za kulisy, nieśmiały jak dziecko. Duse zarzuciła mu ramiona na szyję. Z warg jej płynęła taka powódź włoskich pochlebstw, że nie mogłam znaleźć czasu, aby je przetłumaczyć. Płynęły one jak potok skalny. Craig nie płakał ze wzruszenia, jak my, zaniemiał jednak na chwilę, co było u niego oznaką głębokiego wzruszenia.

W wieczór premijowy wypełniony był teatr przez publiczność liczną i zaciekawioną. Przy poniesieniu się kurtyny... okrzyk zachwyty. Dzięki swemu, podziwianiu godnemu instyktowi, ubrała Duse białą suknię z szerokimi rękawami, zwisającymi luźno przy ciele. W stroju tym wyglądała ona bardziej, jak Sybilla, niż jak Kebeke West. Swym właściwym wyczuciem zrozumiała, że musi zastosować się do wielkich linj dekoracji. Poruszała się na scenie, jakby prorokini.

Romans śmierci.

Na stosie białych skór w kątku umiera pazik. Pieśń bez słów gra Śmierć na srebrnym szpincetku; dwa charty śpią w spokoju chwili, i nikle pachnie zwiędłość bżów.

Tak żał w szesnastej odejść wiośnie! W zmrzużonych oczach świecą łzy, proszą i skarżą się bezgłośnie... Aż Śmierć w połowie nutki zmyli: „Oa pierwszej z dam weź bukiet — bzy!”

Taki się stary romans plecie, prawdę, dziewczynko? — Koniec znasz: Śmierć się usmęchnęła przy szpincetku, podejście, nisko się pochyli — i pocałuje pazia w twarz!

Miecz.



Tragedje słynnych artystek i modelek

Dzieje sztuki znają liczne wypadki, w których malarz lub rzeźbiarz zapłonął miłością ku modelce i pod jej wpływem wpadłszy w wir wyuzdanego trybu życia, zatracił swą niezależność duchową, zmarniał. Ale znane są w dziejach sztuki również wypadki, że artysta, natknąwszy się szczęśliwie na wysoko pod względem etycznym stojącą modelkę, nietylko znalazł w niej kochankę, lecz również i towarzysza pracy, kolegę w wyższym tego słowa znaczeniu.

O kilku takich historycznych modelkach godzi się wspomnieć.

Oto widzimy w pierwszym okresie rozkwitu renesansu w Wenecji postać wielkiego „czarodzieja barw”, malarza Giorgione. Niewiel wiemy o jego życiu, niewiele jest autentycznych jego dzieł — ale głośna jest jego namiętna miłość do modelki, pięknej Cecylii. Artysta poznał ją podczas pewnego festywu ogrodowego, zapłonął ku niej miłością i wprost dla niej się poświęcił. Ale ona oszukiwała go, wreszcie opuściła; po roku wróciła; przyjął ją z niesłabnącą namiętnością; lecz nazajutrz po jej powrocie zarówno Giordione jak i piękna Cecylia zachorowali na dżumę i równocześnie zmarli...

W biografii florentyńskiego malarza renesansu, Andrea del Sarto, modelka odgrywa wprost demoniczną rolę. Zwała się Lucrezia della Sede i była żoną kapelusznika we Florencji, grzeszna miłość owładnęła nią ku przystojnemu wielce artyście; została jego modelką i kochanką — a równocześnie tak

demoniczny wpływ nań wywierała, że dla niej został złodziejem. Sprzeniewierzył pieniądze, które mu posłał francuski król Franciszek I na zakup dzieł sztuki, począł i jako artysta i jako człowiek staczać się coraz niżej, aż przedwczesna śmierć wyzwoliła go...

Rubens, ów typowy przedstawiciel flamandzkiego baroku, miał dwie słynne modelki; obie były po kolei jego małżonkami. Najpierw Izabella Brandt, za młodu zmarła na febrę złośliwą — wielokrotnie malowana i gorąco przez Rubensa oplakiwana. Potem Helena Fourment, która jeszcze jako dziewczyna służyła za modelkę mistrzowi, matka tak często przezeń malowanych dzieci. W galerji wiedeńskiej widzimy ją naga, okrytą tylko futrem; w Ufiziach jako grecką boginię i Madonnę.

Tragiczne cienie osnuwają żywot Rembrandta. Bez wytchnienia rysował, malował swą żonę Saskię. Wraz z jej śmiercią nędza wkracza w prógi wielkiego artysty, aż prosta dziewczyna z ludu, Henryka Stofels, staje się dla osamotnionego i zubożałego nietylko żoną i modelką, lecz również i dobrym duchem, towarzyszącym do końca życia tego melancholijnego i samotnego genjusza.

Przejdźmy w czasy bliższe. Oto w 19-ym stuleciu spotykamy wielkiego angielskiego artystę, w którego żyłach płynęła gorąca krew włoska: Dante Gabriele Rosetti. Dziedzicznie obciążony, patalogiczny, przeduchowony, a nerwowo wyczerpany; podobną jest jego modelka, jego kochanka i późniejsza żona;

miss Elżbieta Soddal. Była tak wątła, tak słabowita, iż zmarła w kwiecie wieku. Rosetti poświęcił jej wiersze, które należą do najpiękniejszych w liryce angielskiej nowożytnej. W trumnę swej Elżbiety włożył odpis swych poematów; owinał je w złote pukle włosów zmarłej kochanki. Po roku żaloby zapragnął wydstać te poematy i kazał otworzyć grób. Przy upiornym świetle pochodni widzi umiłowaną w stanie zupełnego rozkładu... włosy jednak jaśnieją jak ongi, a w nich spoczywa manuskrypt... Dobywa go i — pada omdlały koło trumny.

Wreszcie: klasyk malarstwa niemieckiego 19-go wieku, Anselm Feuerbach. Tragedją jego życia były dwie włoskie modelki; był to człowiek, któremu żadna kobieta nie była wierną; są takie natury, są tak tragiczne postacie, których wielkość i zdolność, wytworność etyczna wcale nie jest ochroną przed losem rogacza... Więc najpierw Nana Risi, która go ośmieszyła i stale martwiła, a potem jej następczyni Lucia Brunacci; Nana była modelką jego licznych obrazów Madonny. Lucią malował jako Medeę w rozlicznych wcieleniach. Czy dla człowieka bardziej wartościowego? Ależ gdzież tam! Lucia Medea została kelnerką w obskurnej szynkowni, posłużyła opastego brutala i roznosiła między woźniców, zatrzymujących się przed szynkiem, ćwierć litra cienkusa... A wielki artysta zniósł srogą udrękę i nie mógł przenieść utraty swej wyidealizowanej mocą wyobraźni modelki. Popadł w chorobliwą melancholję...

Wiktor Heiling

Szafa pięknej Isotty

Castellano, oprowadzający różnojęzyczne towarzystwo po parku i zamku Monteleitre, zatrzymał się i rzekł:

— Na tem kończę moje objaśnienia. Wdzieliscie państwo już wszystko. Złożyliście już swą daninę podziwu dla tego zamku, będącego tak wymownym świadectwem, świetnej zamierzonej przeszłości, jakoteż blasku Siorzów i Borgjów. Daninę zaś, jaką złożyliście mnie osobiscie, pozostawiam do waszego uznania, gdyż datki stanowią jedyne źródło mojego utrzymania.

— Do licha! — rzekł do swego sąsiada pan Arwed Döring, gdy inni członkowie tego towarzystwa popieszyli złożyć w otwartą rękę starego, niedbale uoranego przewodnika napewek, odpowiadający dostojństwu zamku Monteleitre. — Nie mam wcale drobnych. Mam tylko 20 lirów, a to przecież za dużo.

Nie każdy lubi wykladać za kogoś napiewku. Dobrze się przeto złożyło, że i Bruno Bokelmann, wynagrodziwszy Castellano od siebie nie znalazł więcej drobnych w portmonecie. Arwed Döring niezdecydowany obracał w rękę swój banknot dwudziestolirowy.

— Co się tego tyczy — rzekł kasztelan, którego oka nie uszedł ten ruch, ani wahanie — jestem chętnie gotów, zmienić to na drobne, signore. Ale przedtem pozwól sobie pokazać panu coś osobliwego, czego nie mogę pokazać każdemu.

— Coż to jest?

— Coś straszliwego — odparł Castellano. Rzesza turystów oddaliła się. — Czy pan slyszał o losie pięknej Isotty?

— Nie.

Stary skinął głową. Dwudziestolirowy banknot Arweda znajdował się już w jego ręku.

— Chodźcie panowie! — Zabręczyły klucze. — Mamy wejść tylko na dwa piętra.

— Codzi tu o szafę, pochodzącą jeszcze z czasów potężnego i męznego Majalesty. Tedy z czasów około roku 1278. W niej miała się rozegrać straszna tragedia. Bliższe szcze góły podawano sobie naowczas z ust do ust, a czem dalej przenikały, tem bardziej przyozdobiła je fantazja ludu w legendarne dodatki. Widzicie panowie, oto stojmy przed szafą.

— Otwórz ją pan!

Castellano potrząsnął głową. — Niepodobna! Zaden klucz nie pasuje. To jest sekretny zamek, którego tajemnicę ostatni, rezydujący tutaj członek rodu Malaleste zabrali z sobą do familijnego grobu.

— Właściwie ta szafa nie wygląda wcale na tak starożytną — zauważył Arwed Döring, bardzo rozczarowany.

Dobry towar jest wytrzymały, signore Zresztą, ta szafa musiała być już bardzo stara, gdy obok w sali bankietowej odbywało się

wesele pięknej Isotty. Gdyż to jest szafa Isotty. Pozwolicie panowie, iżbym wam opowiedział tę historję.

— Tylko krótko — poprosił Bokelmann.

— Gdy Verucchio z rodu Malalesta poślubił piękną Isottę — rozpoczął Castellano — sprawił jej wielki ból. Gdyż comtessa kochała biednego szlachcica, imieniem Vittorino Gusto. Poczwas uczył weselnej, którą zaprawiała gorzkimi łzami, zniknęła w tej konnaście, gdzie chciała czekającemu na nią Vittorino, dać ostatni pocałunek.

— Acha! — zauważył Bokelmann, któremu jako berlińczykowi nic ludzkiego nie było obcem — teraz już wiem, co nastąpi! — Gałką swej łaski wskazał na szafę.

— Si, si! — skinął głową Castellano. — Zdawało im się, że ktoś nadchodzi. W przestachu chcieli chwycić za klamkę drzwi, ale natknęli się na rozetkę, która otwierała starą szafę. Weszli do niej, drzwi się zatrzasnęły — i —...

— „Nie ujrzyś już konia, ni jeźdźca!” — uzupełnił Bokelmann.

— Przynajmniej już nie przy życiu — zgodził się Castellano. — Skoro Verucchio przeszkalał zamek i całą okolicę, nie mógł wierzyć inaczej, jeno, że anioł uprowadził mu małżonkę do nieba.

— Wierząca dusza...

— Dopiero po upływie roku przypadek przyniósł rozwiązanie zagadki. Było straszne. Otworzono szafę...

— Już wiem! — rzekł Bokelmann. — Wówczas znaleźli dwa szkielety. Para kochonków zmarła z głodu w tej szafie.

— Tak sądzono. Było tak, jak pan odga-

duje. Myślano zupełnie tak samo. I szkielety znalezione również.

— A więc, dlaczego to wyobrażano tylko, że rzecz tak się miała?

— Był haczyk w tej sprawie — rzekł Castellano tajemniczo, a głos jego pon żył się do szeptu. — Szkielet podobno nie był prawdziwy.

— Nieprawdziwy? Jakże to?

— W sześćset lat później wykopano ich znowu, a wtedy jakiś uczone profesor z Bolonji dowiódł niezbicie, że były to szkielety dwóch małp...

— Ależ skądże się tam wzięły?

Castellano wzruszył ramionami. — Ja ułożyłem sobie wyjaśnienie tej sprawy. Wecie, panowie, jak ja sobie tę rzecz przedstawiam? Myślę sobie, że kochanek pięknej Isotty wpakował do szafy zdechłe małpy, aby wyprowadzić w pole swego rywala, Verucchio. Zaś on sam z kochanką zmienił to więzienie na lepsze.

— Czy to możliwe? — zdumiał się Alfred Döring.

— Wiele rzeczy należy uważać za możliwe — westchnął Castellano. — Mnie się zdaje, że Vittorino Gusto był w tem szczęśliwym położeniu, że zmienił to więzienie na wolność. Ja sam z pewnością nie jestem w tem szczęśliwym położeniu...

— W jakim? — spytał obaj zwiedzający jednocześnie.

— By wam zmienić te 20 lirów, panowie Natomiast wy, panowie, możecie wyjść na wolność przez te male drzwiczki bezpieczeństwa.

Falszowanie autografów

Jedno z najbardziej opłacających się źródeł dochodu

Falszowanie pisma, a w szczególności podpisów znaczniejszych osobistości, stanowiło zawsze jedno z najbardziej opłacających się źródeł dochodu w stołecznych miastach świata. Niedawno temu np. udało się jednemu z takich falszerzy sprzedać antykwariuszom lodyńskim za bajeczną sumę książkę z „własnoręcznymi” notatkami oraz szkicami poezji... Schillera. A nie było to największym z falszów.

Naśladowanie pisma a zwłaszcza podpisu wybitniejszych osobistości nęciło zawsze pewien odłam ludzi, atoli liczba falszów wzmogła się bardzo od czasu gdy wśród kolekcjonistów rozpowszechniła się manja zbierania autografów sławnych osobistości. Potworzyły się w owym okresie nawet tajne szkoły, celem kształcenia się w tego rodzaju falszownictwach. Instytucje te rozwijały się i doskonaliły stosownie do żręczności i zdolności poszczególnych aspirantów.

Budan w swej cennej pracy z tej dziedziny wspomina, że kroniki notują aż nazbyt długą i prawie nieprzerwaną listę procesów o najbardziej szkodliwe falszownictwa tego rodzaju oraz wymieniają liczne nazwiska osławionych falszerzy. W r. 1593 pewien portugalski nazwiskiem Sebastiano słażował tak świetnie pismo i podpis Sebastiana del Cano, naówczas komendanta ekspedycji portugalskiej do Afryki, że sam generał uznał podpis ten za własny! W innym wypadku wypłacono w jednym z banków lodyńskich pewnemu francuzowi po przedłożeniu przezeń falszowego czeku okazałą sumę czterech tysięcy funtów szterlingów. Okazicielem czeku miał nawet przy sobie wiarygodne listy uwierzytelniające, oczywiście także sfalszowane, które okazał na żądanie dotyczącemu urzędnikowi bankowemu.

Aż do roku 1850 były autografy sławnego niemieckiego poety Schillera niezmierną rzadkością i płacono za nie ogromne sumy; atoli od tego roku począwszy pojawił się prawdziwy ich zalew. Wówczas to nawet córka poety baronowa Gleichen-Rosswurm, nabyła jeden z nich za sumę 1419 talarów (około 2000 złotych).

Inne falszownictwo autografów, któremu nie brakło nawet cech komicznych, popełniono we Francji. Ofiarą padł tu pewien uczonej o sławie europejskiej, mianowicie fizyk Jakób Aleksander Charles (1746—1825) naówczas bibliotekarz Instytutu Nauk w Paryżu. Kościł on sobie prawo wykazania przed światem, że sławne teorie powszechnej grawitacji nie są odkryciem Newtona, lecz francuza Blaise-Pascala, a na dowód tego uczony ten przedłożył członkom Akademii Nauk w Paryżu oryginalną rzekomo korespondencję między Paskalem a Newtonem z roku 1624, z której wynikało „niezwykle”, że francuski uczonej już wówczas przesłał w liście Newtona swoje spostrzeżenia, dotyczący tego ważnego odkrycia naukowego.

Niezwykła ta rewelacja wywołała żywe protesty nie tylko w Anglii, ale nawet w samej Francji, zwłaszcza gdy stwierdzono, że w roku 1624 Newton nie liczył więcej niż 11 lat życia, a wiadomo, że swoje badania nad problemem, który go uczynił nieśmiertelnym rozpoczął on dopiero w 20 roku życia. W jednym z wspomnianych wyżej listów Pascala, noszącym datę 1652 roku, znalezione nawet wzmiankę o filiżance z kawą, a przecież wiadomo, że napój ten wprowadzono we Francji dopiero w roku 1669, zatem w 7 lat po śmierci Pascala.

Biedny Charles zmarł się z powodu tych wiadomości niemało, zwłaszcza, gdy się okazało, że i cały zbiór autografów, za które zapłacił w dobrej wierze sumę, odpowiadającą dzisiejszym 50 tysiącom złotych, — również okazał się falszy-

wym. Znajdowały się w nim autografy Alcibiadesa, Juliusza Cezara, Attyli, Heroda, Judasza Iskarioty, Marji Magdaliny, Piłata i t. d., nie wymieniamy już nazwisk innych osobistości bliższych naszym czasom.

W połowie wieku ubiegłego naśladował pewien francuz w sposób wprost niedościgniony, a potem sprzedawał po bardzo wygórowanych cenach, monogramy rzekomo własnoręcznie wykonane przez różnych cesarzy i papieży. Niedawno temu znowu pewien berlińczyk, nazwiskiem Kirieleis wpadł na niezwykły pomysł. Oto nabywszy kilka egzemplarzy biblij starych wydań powpisywał w nich obok tekstu na marginesie lub na karcie tytułowej jakieś wersetz lub dedykację z podpisem... Marcina Lutera, a następnie wysyłał swoją żonę do Lubecki, Bregny, Lipska, a nawet do Wiednia celem rozsprzedania tych egzemplarzy jako cennych unikatów. Oczywiście znalazł nabywców, którzy zapłacili chętnie wygórowane nawet sumy, bo książka taka stanowiła dla nich wartość nieomal relikwii.

Możnaby przytoczyć całe setki przykładów podobnego rodzaju manipulacji oszukańczych. Skala podwodną o którą się najczęściej rezbijają próby falszownictwa autografów, zwłaszcza jeżeli chodzi o dokumenty z czasów bardzo dawnych jest zawsze prawie... atrament. Według Plinjusza Starszego (23—79) Dioskowiedesa, lekarza i botanika greckiego i innych, fabrykowali starożytni swój inkaust z sady lub z węgla roślinnego sproszkowanego. Atrament taki odznaczał się o wiele lepszą trwałością niż dzisiejsze. Ślady tegoż, zwłaszcza na przedmiotach z materiału porowatego były naprawdę nie do zniszczenia. Inkaust ten miał jednak tę wadę, że nie łatwo się rozpylał, co spowodowało, że z czasem poszukano do tego celu innych substancji, jak np. witiolu żelaza. Dziś atoli biegłość i doświadczenie falszerzy w chemii zdołały pokonać i tę trudność i rynki całego świata zaopatrywane są zawsze w falszywe autografy.

NIEBEZPIECZEŃSTWA ZAWODU AKTORA FILMOWEGO

Zawód aktora filmowego połączony jest często z narażeniem życia. Jest bardzo wiele filmów o rozmyślnie sensacyjnej treści (w rodzaju filmów z Eddie Pollo, tu Harrym Peitem). Ludzie, siedzący spokojnie w kinie i mający poczucie własnego bezpieczeństwa, chętnie przygląda się temu, jak inni narażają swe życie na ich zabawy. Często naturalnie film jest grany w ten sposób, że widzowi wydaje się tylko, że aktor jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. Np. z wysokiej góry spada nie aktor, a manekin. Jeżeli pokazuje się jakiś wybuch, lub pożar, to przeważnie scena wybuchu zdjęta jest oddzielnie i aktor zdjęty jest oddzielnie. Obrazy zaś te pokazywane są tak szybko i razem zmieszane, że widz się nie orientuje i ma wrażenie całości. Jednak filmy, w których aktor naprawdę narażony jest na niebezpieczeństwo, mają największe powodzenie. Publiczność bowiem nie lubi udanej sensacji, a prawdziwą i czuje się oszukana, dowiedziawszy się, że rzeczywistego niebezpieczeństwa wcale nie było. Niektóre wytwórnie filmowe stosują się do tych upodobań. Oto opowiadanie jednego z aktorów, biorących udział w takim ryzykownym zdjęciu:

Według scenarjusza Tomasz ucieka przed goniącymi go marynarzami angielskimi. Dolar wreszcie do szczytu skały. Nastąpiła walka na śmierć i życie. Walcząc tarzali się

tak długo na skale, aż całe ciało Tomasza było poszarpane i krwawiące. Nagle Tomasz zostaje zrzucony ze skały i spada do morza. Czekaliśmy z tem zdjęciem przez kilka dni na zupełnie spokojne morze, gdyż musieliśmy przygotowywać pomoc na chwilę, gdyż Tomasz spada ze skały. Wycelować dokładnie, w które miejsce skoczyć, nie mogliśmy, gdyż trudno przewidzieć, gdzie spadnie ktoś, kogo zrzucają poprzez skałę głową na dół. Spał on z takim impetem, że stracił przytomność. Nie ukazywał się tak długo na powierzchni, że wszyscy byliśmy już zaniepokojeni. Gdy się ukazał wreszcie, znajdował się w okropnym stanie. Całe ciało jego naprawdę krwawiło. Z trudem wciągnęliśmy go do łódki i zastosowaliśmy środki ratownicze. Gdy odzyskał przytomność pierwszymi słowami, które wyszeptał z wysiłkiem, były:

— „Zatłukę na śmierć każdego idjotę kinowego, któremu będzie się zdawało, że ten skok — to nabieranie!”

Jeszcze większe niebezpieczeństwo istnieje w obrazach, w których występują dzikie zwierzęta. Podczas wykonania filmu „Quo Vadis” — podczas zdejmowania sceny cyrku zginęło trzech statystów. Często też zdarzają się nieszczęśliwe wypadki podczas szalonego pędu samochodów, zeskakiwania z pociągu i t. d.

Kino „SŁONCE”

ul. Napiórkowskiego 28 (dawn. St.-Zarzevska)
Dojazd tramwajami Nr. 3 i 4.

Od d. 25 do d. 31 grudnia 1928 r. w.l.

Wielki Świąteczny Program!

NOC PRZYGOD

MILJARDERKI
(Księżniczka dolarów)

Tysiąc przygód amerykańsk. miliardarki
W rolach głównych:

Liana Hail oraz Georg Alexander

Początek seansów: o godz. 5-ej.
W niedziele i święta o godz. 12.



Zdjęcie powyższe przedstawia fotografa
znanego pogromcy Zachodu

TOMA MIXA

występującego obecnie w Kinie „CZARY”
jednego z czołowych artystów wytwórni
Foxa, który swymi brawurowymi filmami
zadziwia cały świat.

Wielki program
świąteczny

ZACHĘTA

Wielki program
świąteczny

Najnowsza produkcja 1928/29 r.

LUCIANO ALBERTINI, VIVIAN GIBSON

we wspaniałym salonowym dramacie w 10 aktach p. t.

HIJENY NOCY

Szalony przepych wystawy. Niewidziane dotąd popisy kabaretowe.



W OBRAZIE:

Pod maską złoczyńcy

KARKOŁOMNE POPISY. SZALONE GONITWY.
NIEBYWAŁA TREŚĆ.

NAD PROGRAM: **Komedja amerykańska.**

— Niebywały program świąteczny! —

Wielki superszlagier sezonu :: Ostatnia produkcja 1928-29 r.

ulubieniec narodów — **TOM MIX**
postrach dzikiego Zachodu

NOWE KINO!

„Baika”

Fransiszkańska 31 a

Orkiestra pod kierunkiem
Z. Sandomierskiego.

Początek o godz. 12-ej w pol.

Po raz pierwszy w Łodzi! **Wielka świąteczna premiera!** Po raz pierwszy w Łodzi!Wstrząsający dramat psychologiczny nieszczęśliwców, których tragiczny zbieg okoliczności
pchnął w objęcia zbrodni**SKAZAŃCY**W roli głównej artystka o twarzy
pazia i królowy**Małgorzata Schlegel**

Tragedja i nędza bezrobotnych. Ohyda życia bezczeszczonego i najświętszej rozpacz.

Dramat dziewcząt, które porwał wir ulicy. Cierpienia i tęsknoty tych, za którymi zamknęły się bramy więzienne.

**KINO-TEATR
PALACE**

PIOTRKOWSKA 108

UWAGA: Na pierwszy seans wszystkie
miejsca 50 gr. i 1 zł. Początek o godz.
12-ej pp.

Orkiestra symfon. pod kier. M. Lidauera

Wielki świąteczny program → Po raz pierwszy w Polsce

- Ludzie bez nerwów -Wielka sensacja salonowa o nieb. napięciu
i emocjonującej treści.W rolach
głównych**Esther Ralston oraz Nell Hamilton**Nad program: **Komedja amerykańska.****Okazja Gwiazdkowa!!!**

Tylko do dnia 31-go grudnia 1928 r.

W SALONIE SZTUKI FOTOGRAFICZNEJ

„Tyraspolski”

Właśc. JAN BUCHCAR, ul. Piotrkowska 76

Wobec zbliżających się świąt dodaje każdemu do tuzina fotografii gabinetowych

PORTRET duży, rozmiaru 40 × 50 cm.

1020

Miejski Kinematograf Oświatowy

WODNY RYNEK (róg Rokicińskiej)

Od wtorku, dnia 17. XII do 31. XII. 1928 r. w.
PROGRAM ŚWIĄTECZNY.**-- SZALENCY --**

Dramat w 12 aktach z cyklu

„My pierwsza brygada”

Realizacja Leonarda Buczkowskiego
według scenariusza A. K. Czyżowskiego.

W rolach głównych:

Irena Gawęcka, Marjan Czauski, Jerzy
Kobusz, Aleks. Starza, Bolesław Szczur-
kiewicz, Marek Oróg.

Następny program: „SERCE”.

Początek seansów dla dorosłych o godz. 18.45
i 21. w soboty i w niedziele 16.45, 18.45 i 21.
Początek seansów dla młodzieży o g. 15-iej
i 17.—, w soboty i niedziele o 13 i 15-iej.**Tom Mix**swym zwolennikom przesyła życzenia
WESOLYCH ŚWIĄTZakład „Sztuka” Pracownia
Fotograficzna Portretów

Zamenhofska 1 (róg Piotrkowskiej 127).

Wykonuje wszelkie prace w zakres
fotografii wchodzące.

Wykonanie artystyczne.

NATAWISN
AJNOWSZE TYPY RADJO-ODBIORNIKÓW
AJWIĘKSZA SELEKTYWNOŚĆ
AJWIĘKSZA CZYSTOŚĆ TONU
AJNIŻSZE CENY
AJDOGODNIEJSZE WARUNKI KUPNA**NATAWIS**Piotrkowska 152
TEL. 4-20.

Ważne z powodu mrozów!

**PIECE
szamotowe iryjskie
ekonomiczne**

poleca ze składu:

„ELIBOR” Sp. Ak. Handlowo-Przemysłowa.

Ł. J. BORKOWSKI

ŁÓDŹ, ul. Kilińskiego 70. Telefon Nr. 84.

**Kosze Świąteczne**w wielkim wyborze
poleca firma**- S. JAWORSKI -**

Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 54.

Telefon 43-76.

Najstarszy i największy

HANDEL WIN,
SPIRYTUALJI,TOWARÓW KOLONJALNYCH,
DELIKATESÓW i OWOCÓW

Uwaga:

Zastosowanie u nas wyjątkowo niskich cen, zniewołilo
konkurencję do naśladowania naszej dewizy: „Wielki
obrót — mały zysk”.**LUSTRA**

wszelkiego rodzaju w wielkim wyborze poleca

Fabryka Luster

OSKAR KAHLERT

437

ŁÓDŹ

ul. Wólczańska 109. Tel. 30-08.

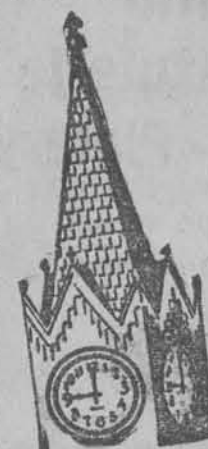
NA GWIAZDKĘ!Zegarki złote, srebrne, niklowe
pierwszorzędnych firm.Zegary stojące, ściennie, biurowe
oraz wszelką BIŻUTERIĘ najno-
wszych fasonów poleca w wielkim
wyborze na najdogodniejszych wa-
runkach (na raty).**JAN CHMIEL**

ŁÓDŹ, Piotrkowska 100.

Wykonuje się wszelkie reperacje
zegarmistrzowskie i jubilerskie.
Szybko i solidnie na każde żądanie.

UWAGA: Filii żadnej nie posiadamy.

537

Czytelników naszych prosimy
uwzględnić przy zakupach wyłącznie
irmy ogłaszające się w naszym piśmie.**Kino RESURSA**

Kilińskiego Nr. 123.

Dzisiaj i dni następnych.

Wspaniały program Świąteczny pełen humoru
i śmiechu!

Tajemnica podróży poślubnej!

Przygody największego hulaki świata!

„Mój Przyjaciel Harry”

(SPELUNKA MIŁOŚCI)

W rolach głównych:

Ulubienica
Publiczności**Harry Liedtke,**uroczna **Marja Paudler** i **Bruno Kastner.**

Następny program „ZŁODZIEJ SERC”.

Początek seansów w dni powszednie o g. 5,30, 7,15 i 9;
w dni świąteczne o godz. 3, 5, 7 i 9.

203

Kino ERA dawniej **FLORA**
ZAWISZY 22.

Wspaniały program świąteczny!

ARCYKSIĄŻE JEDZIE

(Jeszcze jedna kobieta)

Opajające dzieje miłości arcyksięcia do ślicznej dziewczyny nad modrym Dunajem.
Role główne odtwarzają; najpiękniejsza gwiazda Ameryki BILLIE DOVE i rasowo-piękny CLIVE BROOK.

Od wtorku, dnia 25 do poniedziałku,
dnia 31-go grudnia 1928 r. wyłącznie

Następny program:

Córka Szeika

MIMOZA

Kilińskiego 178.

Początek punktualnie o godz. 5.30
w sobotę, o 4 pp., niedz. o 3 pp.

Wielki program świąteczny!

SZALONY KSIĄŻE

Monumentalny dramat wschodni.

(Le prince charmant)

Monumentalny dramat wschodni.

W rolach głównych: NATALJA KOWANKO i JACUE CATDLAIN.

Warto się przekonać! Warto się przekonać!
NA RATY i za gotówkę
pierwszorzędą konfekcję damską, męską i dziecięcą
oraz różne Jedwabie sezonowe

D. LENGA, Piotrkowska Nr. 6.
Tel. 23-92.

Własna Wytwórnia Kolder
Z. Chądzyńskiej
16 PRZEJAZD 16



Podarki

Gwiazdkowe

Zegary

Zegarki

Bizuterje

Platery

poleca po cenach
konkurencyjnych

Jan Placek

Łódź, Brzezińska 10
Tel. 50-17

Na
Gwiazdkę!



Najbardziej
interesującą
i ciekawą
będzie choinka
wówczas tylko, gdy
między upominkami znaj-
dą się

Pióra wieczne
Parker Duofold
A. J. Ostrowski

Łódź, Piotrkowska 55

UWAGA: Z powodu zaprowadze-
nia piór „Parker Duofold” u-
dzielamy z piór wiecznych
Mont Blank i Waterman

20% rabatu
z cen fabrycznych

Pióra wieczne
z 14 kar. złotą stalówką od
zł. 6.50.

Na raty



220

i za gotówkę
Fabryka luster, stolarnia i niklaria
Wielki wybór MEBLI, trem, toalet i lus-
ter wiszących.

Przyjmuje się do niklowania i srebrzenia
platery, wszelkiego rodzaju sprzęty do-
mowe, chirurgiczne, rowerowe i t. p.

Przedsięb. robót szklarskich i sprzedaż szyb.
JAN CANDRYK, Łódź

ul. Piotrkowska 255. Główna 11
tel. 59-03.

Fabryka, Łomżyńska 14.

Hurtowa i detaliczna sprzedaż

OBUWIA



Łódź, Nawrot 7.

Poleca:

Obuwie najprzedniejszych gatunków damskie, mę-
skie, dziecięce i dla młodzieży szkolnej.
Sniegowce i kalosze.

Wielki wybór PANTOFELI prunelowych, atlasowych-
filcowych, skórkowych, pluszowych, tenisowych i gim-
nastycznych w najelegantszym wyborze krajowych
i zagranicznych.

Ceny reklamowe.

Urzednikom państwowym, komunalnym i fabrycznym na
dogodnych warunkach.

Uwaga: Przyjmujemy dostawy dla robotników zatrudnio-
nych we fabrykach na niskie tygodniowe spłaty.
Zamówienia przyjmujemy przez delegatów fabrycznych.

Korzystajcie z okazji!

do 40% Tania sprzedaż gwiazdkowa do 40%
zniżki kapeluszy męskich zniżki

najnowszych fasonów — filcowych i pilśniowych pierwszorzędnych fabryk

Hajman Turobiner ul. Piotrkowska Nr. 82
sklep frontowy

KINO VICTORJA

Kilińskiego 211
Dojazd tramwajami
№ 3, 4 i 17

Wielki świąteczny program

Tajemnica Pani S.

(MISTRZ SWIATA) Według powieści WERNERA SCHEFFA

W rolach głównych **Xenia Desni, Olga Czechowa i Fred Solm**

Początek seansów o godz. 6-ej wiecz., w sobotę o godz. 5 pp., w niedzielę o godz. 3-ej p.p.

Materiały

na garnitury, spodnie, palta męskie i damskie
oraz mundury wojskowe
pierwszorzędnych fabryk Łódzkich i Bielskich

poleca
SKŁAD SUKNA L. Królewski, Łódź
Andrzeja 2

Ceny niskie. — Dogodne warunki kupna.

Czy jesteś członkiem L. O. P. P.?

ODEON

Przejazd 2

WODEWIL

Główna 1.

CORSO

Zielona 2.

— **ŚWIĄTECZNE PROGRAMY** —**Huragany śmiechu!!!**DAWNO NIEWIDZIANI AMERYKAŃSCY **PAT i PATACHON**

w obrazie p. t.:

RIFF i RAFF jako STRAZACYW rolach głównych **Willace'a Beery i Raymond Hatton****Nadprogram Farsa.**

W spelunkach Marokka i Nowego Jorku, rozgrywają się przygody miłosne, wyjątkowo oryginalnej akcji,

— w obrazie p. t.: —

Marynarze i Blondynkiw roli głównej znany bohater **GEORGE O'BRIEN**najpiękniejsza blondynka ameryki **LOIS MORAU.****NADPROGRAM FARSA.**

Wielki sensacyjny film najnowszej produkcji 1928-29 r.

z udziałem plemion Indian

pod tytułem **Władca Skalnej Doliny**

MASOWE PRZEPIĘKNE ZDJĘCIA.

Nadprogram Farsa.

POCZĄTEK SEANSÓW w SOBOTY, NIEDZIELE i ŚWIĘTA O GODZ. 12-ej.



Początek seansów o godz. 4 1/2 p. p.

W niedzielę, soboty i święta od 12 w poł.

Ceny miejsc w soboty, niedziele i święta od 50 groszy.

Orkiestra pod dyr. **R. KANTORA.**

Szczyt napięcia!

Wielki świąteczny szlagier!

Groza sensacji!

Niebywały film p. t.

PANIKA

Szalona odwaga

LWY, TYGRYSY, MILJONERZY**i HARRY PEEL****Ogrom wrażeń!****Masa emocyj!****LUONA**

Początek przedstawień o godz.

po poł., w sobotę, niedziele

i święta o godzinie 12-ej. — —

Ceny miejsc na pierwszy seans

— — 50 gr. i 1 zł. — —

Dziś i dni następnych!

Sensacyjne arcydzieło mistrzowskiej reżyserji **MICHAŁA LINSKIJA.**

WIELKI PROGRAM ŚWIĄTECZNY

OSTATNI CAROWIE

Wielki film o emocjonującym podłożu. Wykonany na podstawie tajnych archiwum Ochrony Carskiej.

w roli głównej **HELENA LUNDA.****CAPITOL**

Róg Zawadzkiej i Zachodniej

Wielka orkiestra symfoniczna pod batutą koncertmistrza **SZ. BAJGELMANA.**

UWAGA: Ceny miejsc na pierwszy seans w dni powszednie oraz od 12—3 w soboty, niedziele i święta 50 groszy i 1 złoty.

Wielki świąteczny program.

Dziś premiera potężnego filmu.

OSTATNI ROZKAZ

W roli wielkiego księcia rosyjskiego

EMIL JANNINGSPonadto pierwszy raz w Łodzi aktualny film p. t. **Łódź ośrodek polskiego przemysłu włókienniczego** wytwórni „IRAFILM”.**PARASOLE i GETRY** poleca z własnej — — wytwórni**KADYŃSKI**

Nawrot 20, tel. 35-74.

